



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ALFRED MŁOCKI.

„Trudniej dzień dobrze przeżyć,
niż napisać księgę”.

Człowiek, któremu krótkie nasze wspomnienie poświęcamy, z dwóch tych zadań żywota ludzkiego spełnił trudniejsze: żył dobrze, a żyć dobrze, u nas zwłaszcza, więcej znaczy niż dobrze pisać. My, ludzie pióra, wchodzimy nieraz, że tak powiem, z nogami w kałamarz; poeta, snując wątek myśli średniowiecznego jeszcze filozofa, ostrzega nas, że jest na świecie coś wyższego nad słowo, najpiękniejsze nawet i najrozumniejsze: jest piękne i rozumne życie. Pięknie i rozumnie żyć: jest to czuć się tylko drobnym atomem całości; nie mieć dla siebie nic takiego, co by nie było zarazem dla wszystkiego; nie być nigdy *sobą* w ten sposób, aby się w sobie wszystkiego już odzwierciedlić nie mogło. Ułomna natura nasza nie pozwalała nam czynić z życia doskonałej, matematycznej linii prostej: nie w katechizmowej też doskonałości, którąby pedanci i doktrynerzy pod mikroskopem stwierdzać dopiero musieli, ale w ogólnym kierunku życia, w jego kolorycie, blasku, charakterze, tkwi zasługa i dołajność pośmiertna tego, „kto



Alfred Młocki.

dzień dobrze przeżył”. *Dobrze? Co znaczy to dobrze? Czy jest życie bez błędów, droga bez manowców, umysł bez żalości nad samym sobą? Nie, ale wszędzie, na szczycie, czy w przepaści, dusza szlachetna poznać się daje tem mianowicie, że nie o sobie samej pamięta. Wiedza nasza — to pożyczka u świata; sława nasza — to dym; namietności nasze — to burze przyrody; rzeczywistość kruszy nam nasze ideały umysłowe; wiara nasza pierzcha; wśród ustawicznych błędów żywota, najgłębszy i najpowszechniejszy ze wszystkich, nasz ideał moralny chroni się do serc, z dumnego zdobywcy przeobraża się w cichego, spokojnego stróża własnej naszej prawości: *vanitas vanitatis!* Człowiek nie ma niczego dla siebie, prócz tego, co poza sobą i nie dla siebie ukocha. Życie, aby dobrem być mogło, potrzebuje mieć jedną wielką miłość, któraby się przez wszystkie dni jego ciągnęła. Na polu takiej miłości nietylko ziarna wschodzą, ale i kłosa dojrzewają: pole to obywatelskiej zasługi. Dość jest działać dla innych, aby żyć dobrze. Takie życie nigdy zmarnowaniem nie będzie.*

Nie zmarnował też życia Alfred Młocki. Urodzony w 1804 r. na Podlasiu, po skończeniu szkół średnich w Warszawie — a zdaje się nam, żeśmy nazwisko jego w programatach egzaminów piarskich spotkali — wszedł w 1825 roku do Uniwersytetu Alexan-

dryjskiego. Tu, na wydziale prawa i administracji, miał za kolegę między innymi, najznakomitszego ekonomistę naszego, Józefa Supińskiego, z którym był jednego wieku. W r. 1830 ożenił się; rok następny, 1831 r., zastaje go w wojsku, w pułku strzelców pieszych, w którym wkrótce dosługuje się Młocki stopnia oficera.

Później, w latach dojrzałych i w sędziwej starości, biał jak gołąb, umiał on w porównaniu sposób piękne wspomnienia młodości swej opowiadać. Po 1831 r. przebywał w Krakowie, z kąd wychylił się do Galicji. Tu wychował syna Włodzimierza, który po r. 1860 zmarł we Wrocławiu, cały majątek na stypendya dla uczniów ówczesnej Szkoły Głównej zapisując. O tym szlachetnym człowieku K. Estreicher pod pseudonimem Bogdana Bogumiła zajmując kartę w *Albumie Lwowskim* z roku 1862 skreślił.

Po niepowodzeniach publicznych Alfred Młocki musiał wyjechać na obczyznę — do Francji; ale już po dwóch latach, powrócił do Galicji, a odziedziczywszy później, po zmarłej ciocie, znaczny majątek, osiadł we wschodniej części kraju i zajął się gospodarstwem rolnem. Posiadłość jego ziemską Sarnki Górne leży w powiecie Rohatyńskim.

Odtąd rozpoczyna się działalność Młockiego obywatelska, mająca na celu umoralnienie i podniesienie ludu, rozwój pracy, oświaty i dobrobytu warstw niższych. Do 1860 r. Młocki działa głównie w szczytym tylko, osobistym swoim zakresie, we własnych majątkach i prywatnie udzielaną radą, zachętą i materialną pomocą; po zabłyśnięciu nowej ery znajduje dla siebie obszerniejsze pole. Znany już z przymiotów umysłu i charakteru, ceniony z wpływowego stanowiska, wchodzi do sejmu, ale niedługo z mandatu poselskiego korzysta: rozprawy odrywały go nazbyt od życia czynnego. Żalowano wówczas, że wyszedł i że później wrócić już nie chciał: jego przekonania głębokie a daleko sięgające, jego demokratyczne poczucie równości i jednej miary dla wszystkich; otwarcie serca dla ludu; znajomość wad szlacheckich; odwaga słowa i niepodległość stanowiska; wreszcie niezdolność robienia czegośkolwiek dla *miłego sąsiada*: mogły być przynieść istotny pożytek w czynnościach sejmu.

Między 1860/70 rokiem Młocki jako „Prawdziej z Kosarzewa“, wydał dwa dziełka społecznej treści, z których jedno: *Rzut oka na rozwój narodu polskiego*, wyszło w 1862 r.; drugie *Krótki rys walki zasad w Europie*, w 1866 r. (w Lipsku). W okresie tym głównie zajmowało Młockiego wydawanie książek dla ludu; gdyby ułożono spis tych wydawnictw, okazałyby się w całości rozmiary pracy, zasługa i wielkość poniesionego nakładu. Publiczne artykuły Młockiego po czasopiśmie przynosiły zawsze pożywny ziarno dla społeczeństwa.

Dbały o porządne życie społeczne i towarzyskie, o rozwój ekonomiczny ludu, Młocki zajmował się gorąco losem stanu rzemieślniczego. Założył dla rzemieślników lwowskich stowarzyszenie gymnastyczne *Sokół*; był jednym z założycieli „Gwiazdy“ lwowskiej, a umierał jako jej kurator; opiekował się rozwojem stowarzyszenia rękodzielników żydowskich „Jad Charuzim“; dawał poparcie swoje wydawnictwom technicznym popularnym. Wiemy np., że jedno z najtańszych pism polskich dwutygodniowy *Rękodzielnik*, wydawany we Lwowie, w IV roku swego istnienia wychodził nakładem Młockiego. Zbytecznym prawie jest wspomnienie o zapomogach udzielanych poczynającym rękodzielnikom.

Wiele dobrego zrobił Młocki w Towarzystwie Oświaty Ludowej, któremu przez długi czas przewodniczył. Z jego natchnienia w 1872 r. zaczęto zbierać w Galicji składki na budynki i inne potrzeby szkolne. Dziesięć lat wprawdzie upłynęło było już wówczas od chwili, kiedy z Wiednia dano Galicji pozwolenie na życie; ale organizowanie szkół, uważanych przedtem tylko za *malum necessarium*, postępowało ciągle jeszcze tak wolno, że bez energicznego początkowania Młockiego, bez wyszłej od niego pobudki i wezwania do składki, Gołuchowski przed śmiercią nie mógłby był powiedzieć, że jest już w Galicji 2,300 szkółek. Młocki rozpoczął ofiarność od siebie; w ciągu roku zebrało się 60.000 guldenów: jak na Ga-

licy, summa już ogromna. Składki obudziły gorliwość, poruszyły i sam sejm. Zasługi Młockiego dla oświaty ludowej wysoko postawił taki rzeczoznawca, jak p. Z. Sawczyński.

Nie można tu nie przypomnieć, że w latach 1868/74 Młocki wydawał nakładem swoim poemata i pisma prozaiczne Piotra Zbrozka; że w Towarzystwie Opieki do śmierci urząd prezesa zajmował i był bardzo w najważniejszych okolicznościach czynnym. Nie jeden czyn jego dopominałby się ujawnienia; ale warunki i zasoby wzmianki niniejszej nie pozwalają na ukazanie postaci Młockiego w pełni działalności i zasługi obywatelskiej: pragniemy tu tylko rzucić ogólne rysy, wskazać kierunek, w którym przeszła przez życie ta dusza porządnie w sobie zwarta, czysta a gorąca. Taki obywatel, jak Młocki, zasłużył sobie na życiorys wyczerpujący: spodziewać się też można, że ktoś z grona ludzi dobrze nieboszczyka znających ukaże nam go w naturalnej wielkości, z prawdziwym jego obliczem, czego ogólnikowe wzmianki nigdy nie dokażą.

Serce miało Młocki łagodne, słodczy dla ludzi pełne. Zнали go wszyscy z wielkiej uprzejmości. Uczynność jego w przysłowie weszła. Młocki nie odmawiał nikomu, nikt od jego proga z pustą nie odszedł dlonią. To też nie dziw, że jedni nadużywali szczodrościowego zacnego męża, drudzy gniewali się na niego, iż tak pieniądze w błoto nie raz rzuca. On robił swoje. Potrzebowali inni jego miłosierdzia, potrzebował go i on sam dla siebie: miał z niego rozkosz serdeczną.

Mądrość, cierpliwość, względność, wyrozumiałość, słodczy we wszystkim, zalecała ten rzadki charakter. Wobec zdań przeciwnych, pamiętał zawsze o upomnieniu: *in omnibus caritas!* Sam surowy w wyznawanych zasadach społecznych, nikomu jednak nie wydrapywał niemi oczu: toć każdemu wolno patrzeć jak chce i może; każdy tylko powinien być prawym człowiekiem, dobrym obywatelem. Młocki znał tylko ludzi niegodziwych, nie znał niegodziwych zasad. Tolerancją religijną ozdabiał swoją ogólną miłość człowieka. Dla maluczkich był szczerze, naiwnie, gorąco uprzejmym. Kiedy w „Gwieździe“ rozdawał kolendę lub święconem jajkiem się dzielił, znać było, nie papierową, sztywną, malowaną tylko grzeczność, ale rzeczywisty wylew uczucia, które niższych do siebie podnieść pragnie. W ten sposób był Młocki prawdziwym demokratą, bo nietylko pisał i mówił o demokracji, ale ją w czynie, w obyczaju przeprowadzał.

Po długich cierpieniach zgasł ten mąż tak zasłużony we Lwowie, w domu swoim przy ulicy Pańskiej w d. 27 Marca r. b. Nie pozostawił po sobie nikogo z imieniem Młockich; przeżył go tylko jeden wnuk po córce.

Pogrzeb Młockiego, w d. 30 Marca odbyty, był jedną z najwspanialszych posług, jakie pozostają na ziemi oddają tym, co z niej już zesłali. Przy wyruszeniu pochodu zebrało się 30.000 osób, pomimo dżdżystej niepogody. Kilka tysięcy oczekujących na cmentarzu Łyczakowskim; całe duchowieństwo katolickie Lwowa; przedstawiciele władz najwyższych: marszałek sejmu i vice-prezydent namiestnictwa; tłumy obywatelstwa wiejskiego zmieszanego z ludem; nieprzejrzane szeregi mieszkańców miasta, na czele z radą miejską, która żegnała swego niegdyś członka; deputacje od wszystkich stowarzyszeń, dla których Młocki był okiem opatrności; trzydziście kilka wieńców z napisami; młodzi i starzy, kobiety i dzieci; wszystkie stany, wszystkie wyznania, wszystkie zasady społeczne, zgromadzone naokoło trumny człowieka, po którym nie będzie nikt szukał śladu: czy rzeczywiście w społeczeństwie swoim żył? — oto tryumf pośmiertny wielkiego sercem obywatela.

Po dopełnieniu ostatnich ceremonij przez eksportującego x. biskupa Morawskiego, a przed wyruszeniem konduktu, przemówił p. Sawczyński. Orszak postępował przy zapalonych, z rozkazu Rady Miejskiej, latarniach gazowych, wśród czarnych chorągwi powiewających z domów, aż do cmentarza. Nad grobem przemówili x. Lickendorff, przeor Dominikanów we Lwowie, i p. Wale-ryan Podlewski, przyjaciel, rówieśnik i towarzyszy zmarłego. Mowa x. Lickendorffa wszystkich do łez wzruszyła.

S. K.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Nim poczniesz — odezwał się do towarzysza, pierwsze pytanie: Byłeś u Zaborskich? oddałeś kartkę?

Uśmiechnął się figlarnie Bohuszewicz.

— Byłem — rzekł — a wparłem się do nich, szukając innych niby kobiet, niegdyś tam mieszkających. Przyjęła mnie Zaborska stara, którą okłamałem, że się chyba spowiadać z tego będę musiał. Uczyniłem się jej powinowatym, pochlebiałem babie bezwstydnie. Przecież córki mi pokazać nie chciała, aż przypadek zrzucił, że wyjść musiała — a ja-m manewrował tak zręcznie, że jej naprzód do ucha imię twe powiedział, potem rozek papieru ukazał, naostatek i list oddał.

Wysła z nim zaraz, zarumieniwszy się, jak piwoniam. Ja m starą zagadywałem, wyciekując, czy odpowiedzi nie da, ale pisma mi nie powierzyła żadnego. Tylko, gdy matkę odwołano na chwilę, powiedziała mi:

— Podziękuj mu pan, i niech Bóg nami się opiekuje!

Byłbym jej oświadczył, że ja choć narzędziem bożem do tej opieki radbym zostać, ale matka, niespokojna, powróciła.

Damazy, gdyby na koniach nie siedzieli, rzuciłby się na szyję przyjacielowi; a potem pytał a nękać zaczął, jak Faustysia wygląda i czy bardzo zrozpaczoną ją znalazł.

— Wysła jak-by zagniewana — rzekł Bohuszewicz — na mnie nawet i spojrzeć nie raczyła — ale twarz się jej zupełnie odmieniła, gdym list oddał. Ani jej było poznać.

Na matunię gdy wspomnę, ciarki po mnie chodzą.

— Teraz, ponieważ we dworze byłeś i wiesz gdzie mieszkają — rzekł Butrym — musisz mi okna ich ukazać.

Nie była to rzecz łatwa dla Bohuszewicza, który we środku dworu tylko trafiłby do mieszkania Zaborskich, ale nazewnątrz okien nie był pewnym — przecież, na chybiłtrafił, chociaż ścianę mógł oznaczyć.

Odprowadziwszy Karola, którego pomoc i nadal zamówił sobie Damazy, spokojniejszy do kawała powrócił, a o mroku powlókł się jeszcze okien tych szukać, w których spodziewał się ujrzeć Faustysię, rachując już, jakby przez nie nocą wykraść się mogła.

Ponieważ mrok już padał, a wewnątrz światła zapalano, okiennice zaś jeszcze pozamykane nie były, Damazy, błądząc pod oknami, naprzód zobaczył samą Zaborską, a postawszy chwilę, ujrzał przesuwającą się Faustysię. Naznaczył potem w pamięci miejsce i do kawała powrócił.

Ucieczka ztąd wydawała mu się łatwą, lecz dokąd? Z Warszawy wiodło dróg wiele w różne strony, pogoń była utrudnioną; lecz Damazy nie miał się dokąd schronić, nie czuł się bezpiecznym nigdzie, tylko na Litwie lub na jej pograniczu.

Z pieniędzy, które go Lubiszewski zasilik, już się trochę nadebrało na kupno koni, wozu i na życie — tu w Warszawie topniały one w oczach! Z ucieczką potrzeba było pośpieszać, aby zmuszonemu ukrywać się we dwoje grosza nie zabrakło. Myśli te trapiły wielce Damazego, który w ciastnym alkierzyku, spać nie mogąc, tłukł się jak po klatce.

Cieszył się ze sprzymierzenia Bohuszewicza — z dobrego słowa od Faustysi; ale to wszystko nie starczyło: trzeba było pośpiesznie coś postanowić i działać prędko.

Kiedy Damazy męczył się tak rozmyślaniami

we dworku p. Puczka, nieopodal od niego, panna Faustyna, po wylaniu łez wielu, bo płakała przez całą drogę, tak nagle poweselała po odwiedzinach Bohuszewicza, że matka ją posadziła o to, iż chłopak wpadł jej w oko.

— A niechajby już lepiej podurzyła się—mówiła w duchu—niechby poromansowała, bo to się młodym należy, niż ma oczy psuć tym płaczem bez końca.

Druga też okoliczność przyczyniać się zdawała do rozerwania czarnych myśli Faustysi; bo w domu hetmana Branickiego, w którym się mieszcila część dworu księcia chorążego, na górze zastali jakąś dawną lokatorkę, która się tu z Białegostoku przeniosła i od roku zamieszkała.

Zwano ją Madame Gilles. Była to żona Francuza, ogrodnika niegdyś hetmańskiego, zmarłego niedawno, Polka, wychowana u Branickich w domu, na swój stan bardzo edukowana, elegantka, chlubiąca się wielkimi laskami pana. Dwuznaczny uśmiešek, gdy o tem mówiła i dodawała, że pani hetmanowa jej cierpieć nie mogła, co było powodem wyniesienia się z Białegostoku—dawał wiele do myślenia.

Pani Hortensya Gilles, średnich lat, dosyć jeszcze przystojna, ale z płcią bielidłami nadwreżoną, była osobą nadzwyczaj romansową. Czytała francuskie książki, marzyła tylko o miłości, interesowała się czule wszystkimi zakochanymi, mówiła tylko o sentymentach—i naśladowała w mowie, w ruchach, w ubraniu, w obyczaju świat ten wyższy francuzki i zfrancuziały, na który z jednej strony patrzyła długo w polskim Wersalu.

Wypadek poznał ją z Zaborską i Faustysią. Mieszkały pod jednym dachem. Smutna twarz biednego dziewczęcia obudziła nadzwyczajne współczucie w pani Gilles. Domyślała się naturalnie jakichś cierpień miłosnych, gdyż dla niej one jedne istniały na świecie, jako wszystkich utrapień przyczyna. Zaczęła więc z serdecznym politowaniem męczyć Faustynę, aby się jej ze swoich smutków zwierzyła i umiała tak trafić do osamotnionej, zrozpaczonej, że ta jej (oszczędzając matkę) opowiedziała wszystkie nieszczęścia swoje, nie tając stosunku z Butrymem i zamiarów jego.

Pani Gilles przejęła się losem Faustysi z gorącością wielką. Dla niej było największą rozkoszą uwikłać się w awanturniczy romans. Chwyciła tę sposobność, gotowa dopomagać, pośredniczyć, zasłaniać i poświęcić się nawet sama dla tej pary kochanków. Zaborska naturalnie o niczem wiedzieć nie miała.

Pierwszy raz w życiu zyskawszy taką powierność, dziewczę aż nadto wagi do tego przywiązywało—pociecha wstąpiła w serce. Pani Gilles uważała za święty obowiązek, podać rękę *à un amour malheureux*.

Obie razem przeklinały obrzydłego starca i oplakiwały tę podroź, która nadzieje wszystkie wniwecz obróciła.

Gdy Bohuszewicz dnia tego nadszedł i z ręcznie list wsunął Faustysi, ta po wyjściu jego natychmiast pobięła na górkę do nowej przyjaciółki: podzielić się z nią szczęściem swem i odrodzoną nadzieją.

Pani Gilles ofiarowała się sama iść, szukać Damazego i z nim się umawiać, obmyślać środki ucieczki, do której pomoc obiecywała; lecz potrzeba było czekać, ażby się dowiedziały, gdzie się ów zbawca ukrywał.

Wieczór cały Faustysia spędziła u wdowy, która i uczucia jej i nadzieje podsycała, dolewając do nich ognia, marząc najniepraktyczniejszy w świecie skład okoliczności. Roztrzępana, roztrągniona, zawsze rozgorączkowana wdówka w sprawach serca nie widziała niepodobieństwa; i tęsamę pewność zwycięstwa starała się wlać w strwożoną Faustysię. Zaborską zaś umiała tak ludzki powagą przybrać, opowiadaniem o swych stosunkach, rozmowami obojętnymi, że ta się niczego nie domyślała i Faustysi przesiadywać dozwalała u wdowy, ciesząc się tem, że dziewczę się rozerwie nieco.

Tymczasem zbliżał się dzień inwestytury, do którego się wszyscy przygotowywali, jako do uroczystości od wieków niewidzianej, a niesłychanej wspaniałością mającej świat zadziwić. Nie mówiono o niczem, tylko o tem jednym, a każdy sta-

rał się kątek sobie jakiś zapewnić, z kądyby choć część pochodu mógł widzieć.

Książę chorąży z kilku znacześniejszymi dworu swojego urzędnikami, mieścił się w pałacu Radziwiłłowskim, w którym brat jego, książę hetman i syn jego, dwudziestokilkoltni, książę Karol, miecznik litewski, mieszkali także.

Hetman, który był obojętnym dla brata od dawna, nie tylko, że go zaprosił do siebie, powitał bardzo uprzejmie, lecz widocznie starał się sobie serce chorążego, nieufne, ostygłe i zazdrojne, pozyskać. Pomimo to, obaj się wzajemnie szpiegowali i koso na siebie patrzali. Szambelana Kaszyca, który u obu był w łaskach, hetman pytał ciągle: co brat mówił, co myślał? i tak samo chorąży go badał—niespokojny.

Napozór jednak zgoda i miłość braterska były zupełne. Ale jakże chorąży mógł się tu czuć swobodnym i wesołym, gdy nad nim dominowała powaga hetmańska, która jego chorążówstwo litewskie spychała bardzo nisko?

Książę w czasie uroczystości wielkiej na zamku, miał, obok innych dygmitarzy, stać przy tronie i trzymać chorągiew litewską. Synowiec jego książę Karol, tak samo miecz miał trzymać, hetman książęcą mitrę.

Zapowiadano, że cała ta sprawa inwestytury, z mowami nieuchronnemi, przysięgą, podziękowaniem, miała zabrać długi przeciąg czasu. Chorąży, któremu nogi brzękły i który długo stać nie mógł, a w rękach miał dźwigać drzewce grube i chorągiew ciężką—zaczynał się niepokoić: czy temu podola.

Dnia tego naparł się, aby chorągiew *in originali* przyniesiono lub podobną, dla spróbowania w domu, jak to będzie. Naprowadziło go na myśl tego experimentu to, że pustak i trzpiot książę Karol, miecz ogromny dostawszy, wprawiał się do dzierżenia go tak, aby nie drgnął w jego silnych rękach.

Chorąży też, wzorem jego, zażądał chorągwi, a gdy mu drudzy odradzali niepotrzebną fatygę—wołał:

— Al! bardzo asindziejom dobrze, co będziecie trzymać na poduszkach parę funtów jakich, ale chorągiew, to nie żart!

Właśnie się zawieruszyło w pałacu o tę chorągiew, gdy do chorążego wpadł Wolski z impetem wielkim. Domyślał się książę, iż da mu znać o przybyciu zwierza i łowach, ale Wolski, cały w ogniu, począł od tego, że znowu chorążemu za służbę zaczął dziękować, z powodu, że Butrym go słuchać nie chce i sobie nad wszystkim przywłaszcza zwierzchnictwo—sobie przyznaje całe meritum, jemu ani nosa wtrącić nie pozwala.

Książę tak był podrażniony, że o mało Wolskiego nie potrafił, ale ten nie obawiał się go, bo czuł się w wielu sprawach niezbędnym—i zuchwale wykrzykiwać zaczął. Zniecierpliwilo to tak księcia, że, dyabłami klnąc, krzyknął:

— Bierz-że kommandę, bierz, trutniu jakiś, ale jak mi na jeden włos będzie co chybionem, głową przypłacisz!

Wolskiemu tego tylko było potrzeba. Najtrudniejsza część, łapanie, zamykanie, przewożenie zwierza, było wykonane, skończone. Niedźwiedzie i losie stały już w klatkach na placu pod Ujazdowem. Nie obawiał się faworyt nic, przychodził do gotowego, a spodziewał się jako pierwszy łowczy sowitego podarku od króla i królewicza. Przysięgł, że mu i o to, aby się nie dać dźwignąć Butrymowi i pozyskać łaski księcia. Dopóki chodziło o trud, pracę i niebezpieczeństwo, patrzył przez szpary, teraz dopomnił się praw swoich.

Co z tego wyniknąć miało? niewiele się troszczył; domyślał się, że Butrym tak się zbył i na podstępne stanowisko nie da zepchnąć, owoc swej pracy oddając innemu, że konflikt z nim będzie nieuchronny; lecz gotów był nawet na gwałt i awanturę: szło mu o krescytywę. Sposobność była jedyna, a szedł wygodnie do gotowego, bo już tam nie było co robić, tylko w dniu naznaczonym zatrąbić i zwierza nagać.

Wymógłszy na chorążym, czego sobie życzył, Wolski byłby zaraz na koń skoczył i do Ujazdowa pośpieszył, lecz książę mu się zatrzymać kazał *ex*

re tej chorągwi. Ceremonia była dosyć śmieszna, na którą i książę hetman i jego konfidenti gromadnie, i książę Karol, przyszedł popatrzeć. Chorąży brał to bardzo naseryo, bo się odziać kazał tak, jak miał być na inwestyturze, przypasał szablę wysadzoną brylantami, wdział kołpak z pióropuszem i, z powagą i przejęciem chorągiew przyniesioną ujawszy, stanął z nią, rozkazując patrzeć na zegarek.

Wesoły książę Karol kazał przynieść swój miecz i stanął poza stryjem, robiąc takie miny pocieszne że dwór ledwie mógł w sobie śmiech utrzymać, co chorążego gniewało, bo sądził, że się z niego wysmiewano. Wistocie, trzymanie chorągwi dla starca z nogami obrzękłymi, osłabionego, nie było rzeczą łatwą. Dr Dubiski, obecny experimentowi, obawiał się uderzenia krwi do głowy, ręce drżały, pot występował na czoło.

Urządzono, aby kilka razy jeszcze powtórzyć próbę, dla nabrania wprawy.

Chorąży, gdy mu godło jego urzędu odebrano, padł na krzesło, dysząc, i rzekł:

— Honor wielki, ale pańszczyzna ciężka, niech ją kaci!

Wielopolski, który takąż chorągiew koronną miał dźwigać, młodszym był i silniej od księcia zbudowanym, bo cały ich ród olbrzymią miał siłę i zdrowie.

Epizod ten, dosyć krotocwilny, zajął znaczniejszą część poranku w Radziwiłłowskim pałacu; Wolski zaraz potem chciał się na Ujazdów wyknąć, lecz książę go wstrzymał jeszcze—i poprowadził do gabinetu.

— A z Zaborskimi co się dzieje? — zapytał z wyrzutem—nie nie wiem. Żadnego raportu nie mam.

— Zostały na Pradze, — odparł Wolski, — cóż się im ma stać?

— Ale dozór, dozór powinien być, bo tu hałasty dosyć i lichy jakie może być.

— A poco im książę kazał jechać za sobą?

Już rozdrażniony chorąży zamachnął tak ręką, jakby policzkiem chciał zapłacić Wolskiemu, który go uniknął i wcale się tem nie zmieszał. Pilno mu było biedz Butryma upokorzyć.

— Jaśnie oświecony panie, a jeżeli z tym Butrymem przyjdzie do jakiej kolidy? — zapytał.

— To twoja rzecz; ja o niczem wiedzieć nie chcę. Jedno ci powtarzam: będzie co chybionego, — głową mi zapłacisz. Naparłeś się kommandy: dawaj sobie radę...

Było to pełnomocnictwo *in optima forma*; Wolski do nóg się pokłonił, bo pokorę książę lubił, pocałował w kolana i — zniknął.

Koń stał gotowy w podwórzu pałacowem. Natychmiast dosiadł go Wolski i puścił się wyciągniętym kłusem na Pole Ujazdowskie.

Zrana już tam cały tabór pod wodzą Butryma nadciągnął. Zdała już tę całą przestrzeń nad Wisłą, na jaką milę, opasaną widać było parkanami i płótnami naprędce wzniesionymi.

Cieśle pracowali nad dokonaniem altany dla króla i amfiteatrów dla widzów. Oprócz tego mnogi lud wioził i sadził z lasów pobrane sosny i jodełki, które wbijano w ziemię, aby niby las reprezentowały. Jak mrowie krzątały się robotnicy z pośpiechem wielkim, napędzani przez dozorców, których głosy się rozlegały. W końcu placu właśnie Butrym klatki ze zwierzem z wozów zdejmował i ustawiać kazał, sam konno asystując temu, zmęczony, ochrypły, z twarzą od zimna i biegani-ny zaczerwienioną.

Nie postrzegł on przybywającego Wolskiego, który, gotując się do nieuchronnej walki, już w sobie gniew obudzał.

Gdy nadjechał pan łowczy, i nie witając Butryma, na ludzi począł krzyczeć, co innego im dysponując niż on, odwrócił się Marcyan, popatrzał i podjechał ku niemu.

— Na mnie tu wszystko zdane jest, jam doprowadził: dajcież mi dokończyć, a nie mieszaście się.

— Jako! jako! — podchwycił Wolski dumnie. Co to ma znaczyć? Wacan jako podłowczy i mój podkomendny zrobiłeś co do niego należało; a czy dobrze? to się okaże. Teraz ja, a nie kto inny, tu rozkazuję, rozumiesz to acan?

— Nie rozumiem, — rzekł, powstrzymując się Butrym, — książę na mnie wszystko zdał.

— Aż do tego momentu, a od tego momentu ja tu komenduję, — zawołał Wolski, — słyszysz waćpan?

— Słyszę, ale nie wiem: czy mam uszom wierzyć? — rzekł Butrym, — więc pan łowczy do gotowego?

Zasmiał się.

Faworyt odwrócił się doń z brwią namarzczoną.

— Nie lubię rezonowania! Na miejsce, mości podłowczy.

Butrym chwilę stał jak skamieniały, blednął, drżał, ręka mu się podnosiła, opadała, okrutny gniew piersi mu napęczał. Gdyby się nie wstrzymał, byłby zuchwalca płatnął, ale przechrzta mu śmierzdział: nie chciał z nim się ucierać.

— Pojadę po rozkazy do księcia, — rzekł głosem od gniewu drżącym, — zobaczymy.

— Ja wprost od księcia przybywam, nie masz się co acan fatygować, — krzyknął Wolski, — a jeżeli mi się tu z placu oddalisz na pięć minut, nie masz poco powracać!

Butrym już był wściekły, jak błyskawica; myśli mu nagle przysła: rzucić wszystko, służbę, księcia, wyrzec się miejsca, a nie dać nad sobą przewodzić mechesowi.

— Doprawdy? — podchwycił szydersko. Wolski, spojrzał piorunującym wzrokiem. Butrym śmiał się.

Na szyderstwo Wolski był bardzo czuły, złość go porwała straszna.

— Ty chlystku jakiś? — zawarczał.

— Milcz, mechesie! — odparł Butrym, — albo...

(Dalszy ciąg nastąpi)

SKRYTE ŁZY

(z czeskiego)

El. Krasnohorskij.

Gdy mi z serca łza popłynie,
Skryję ją przed światem w głębi:
Niechaj radość ją ominie,
Niech łza—radości nie zziębi.
Wszak nie zazdroszczę nikomu,
Gdy mu śmiech usta okoli:
Pozwólcież mi pokryjomu
Zapłakać, gdy serce boli.
Szczęścia nie biorę wam przecie:
Czemuż łzy chcecie mi brać?
Ze łzami serce weźmiecie—
Bez serca mogę-ż się śmiać?

J. Morawska.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Marcu 1882 r.

Deotyma we Lwowie. — Odczyt Tonnera. — Odczyty p. Felicy Boberskiej *O znakomitych mężach Wieku Zygmuntońskiego* i p. Ludwika Wierzbickiego *O ceramice*. — Garncarstwo dzisiejsze. — Wystawa stolarszczyzny w Muzeum Przemysłowem zapowiedziana. — Wyjazd prof. Ochłowicza. — Czynności *Koła literackiego*. — Towarzystwo Oświaty Ludowej. — Opatrzność. — Dom pracy i przytulku. — Woda we Lwowie. — Teatr amatorski i żywe obrazy. — Obecny stan teatru. — Wystawa obrazów. — Grupy symboliczne przed gmachem sejmowym. — Płaskorzeźby Szimsersa. — † Alfred Młocki.

Przyjazd Deotymy ożywił bardzo niektóre sfery tutejsze. Rolę gospodarza przyjęło z natury rzeczy *Koło literackie*, którego zarząd powitał przybywającą na dworcu kolei. Przedniejszą domy tutejszej arystokracji ubiegały się między sobą w gościnie przyjmowaniu poetki, znanej

przedtem tylko jako świetny meteor, zdala blaskiem promieniający; wszyscy pragnęli poznać poetkę, zbliżyć się do niej i hold swój jej złożyć. Pierwszy raz wystąpiła Deotyma publicznie na-za-jutrz po swem przybyciu, na poranku literacko-muzykalnym, urządzonym w dzień ś. Józefa przez *Koło literackie*, na cześć Bohdana Zaleskiego. Uproszona przez *Koło*, zagała tę uroczystość jubileuszową prologiem, pełnym głębokiej myśli, którego nastrój podniosły a smutny, odpowiedni uroczystości chwili, udzielił się słuchaczom i zachwycił wszystkich. Gościąc naszej pieśni, laurem wysłany, przycichł i osamotniał. Od śmierci wielkiego Adama—w koło jego mogiły coraz milczeniu szerzej, coraz grobom ciśnień— a z dawnych hetmanów pieśni jeden tylko pozostał, *wspaniały w samotności swojej*, tułacz teorbani, którego pieśni mają rusałek strój różnowzory a szumią w nich świsty bojowych chorągiewek i stepowych podków tententy... W ten sposób scharakteryzowawszy istotę poezji Bohdana, zakończyła Deotyma śliczny swój prolog słowami do głębi duszy wzruszającymi słuchaczy.

Szereg wieczorów urządzonych na przyjęcie Deotymy, rozpoczął wieczór u księżny Leonowej Sapieżyny, gdzie zebrało się około stu osób, wybór towarzystwa tutejszego. Obok najwyższych sfer arystokratycznych jaśniejących historycznymi imionami, jak Sapiehowie, Czartoryscy, Dzieduszyccy, znajdował się tutaj kwiat inteligencji i wszystkie nasze znakomitości literackiego i artystycznego świata. Od lat kilku, od śmierci nieodżałowanej pamięci księcia Leona Sapiehy, okryte żałobą salony książąt Sapiehów, po raz pierwszy zgromadziły tak liczne grono gości i ożywiły się jak dawniej. Przyjęcie było pełne uprzejmy, serdecznej gościnności. Deotyma odczytała rozdział z pięciotomowej powieści, opisującej dwór krakowski królowej Kingi, czyniącej przygotowania do przedstawienia jasełek. Czarodziejską różdżką twórczej fantazyi po wieściu wiekach wskrzeszone, stały przed naszymi oczyma owe starożytne komnaty pobożnej królowej, wraz z całym jej dworem i otoczeniem, w opisie z taką plastyką i znajomością dokonany, jakby wprost z życia zdjętym. Rozdział ten, stanowiący zaokrąglony w sobie, charakterystyczny obraz czasu i dworu Bolesława, zakończył się śliczną legendą dworskiego poety Gaudentego. Po odczytaniu autorka, obsypana oklaskami i podziękowaniami, zaimprovizowała pod wrażeniem chwili krótki wiersz na cześć dostojnych gospodarzy domu, czyniąc aluzję do starożytnej chwały i cnót rodzinnych książęcego domu. Wieczór zakończył się koncertem. Mikuli grał na fortepianie, a pani L. odśpiewała parę aryj. Wieczór ten pozostał najmielszym wspomnieniem dla wszystkich, a zapewne i dla Deotymy, która miała tu po raz pierwszy sposobność zaznajomienia się z najświetniejszymi sferami lwowskiego towarzystwa.

Nazajutrz podejmowało poetkę *Koło literackie* rautek wieczornym, urządzonym na jej cześć w salach Kassyna Miejskiego. Zgromadzili się tu wszyscy prawie członkowie *Koła*, wszystkie znakomitości Lwowa, zajmujące wybitniejsze stanowisko w tutejszych towarzyskich i umysłowych sferach. Zaproszeni przez *Koło*, przybyli pomiędzy innymi: marszałek sejm Zyblikiewicz, wiceprezydent namiestnictwa Zaleski, prezydent miasta, księstwo Sapiehowie, ks. Romanowstwo Czartoryscy, Włodzimierzowstwo Dzieduszyccy, Rusocy. Wieczór był świetny pod każdym względem, w całym tego słowa znaczeniu. Panie przyjęły Deotymę u wstępu do głównej sali, a prezes *Koła literackiego* prof. Kubala, powitał ją tutaj stosowną przemową, na którą Deotyma odpowiedziała czterowierszem, odnoszącym się do prac historycznych prof. Kubali, posiadających obok głębokiej treści piękność wyrazu, którą poetka odczuwa

Myślą lutnistki, a sercem kobiety.

Po herbacie i odśpiewaniu przez chór mężski stosownej kantaty, na nutę Mendelsohna, wręczył Deotymie, sekretarz *Koła literackiego*, imieniem tegoż, bukiet, wygłaszając zarazem udatny wiersz własnego utworu. Deotyma odpowiedziała dłuższym, prześlicznym wierszem, peł-

nym, nie tylko prawdziwie poetycznego polotu, ale zarazem serdecznego ciepła, które, udzielając się wszystkim obecnym, nastrój duchowy zgromadzenia, do wysokiego podniosło stopnia. Wszyscy byli wzruszeni, uniesieni, a otaczając kapłankę pieśni, wywołującą tak rzewne tony ze wspaniałej swej liry, dziękowali za te kwiaty myśli i uczuć, rzucone na pamiątkę tak podniosłej chwili. Śród takiego usposobienia, ogarniającego wszystkich obecnych, wystąpił Platon Kostecki, autor jubileuszowego wiersza na cześć Kalderona, za który otrzymał nagrodę akademicką, medal złoty, i wygłosił wiersz, którego ton szczytny i natchniony odpowiadał nastrójowi powszechnemu. Z widocznym przejęciem, ze wzruszeniem malującym się żywo w obliczu i wzroku natchnionym, słuchała Deotyma szczytnych i rzewnych słów poety, któremu znowuż zaimprovizowanym odpowiedziała czterowierszem. Wspaniałym hymnem zakończyła orkiestra tę podniosłą i wzruszającą scenę, a chór mężki pożegnał znowuż kantatą odchodzącą Deotymę.

Nazajutrz poetka była w teatrze, na urządzonym umyślnie dla niej przedstawieniu *Krakowiacy i Górale*.

Na wieczorze u hrabiostwa Włodzim. Dzieduszyckich wygłosiła *Ode do miłości*, poczem obecny tamże Leszek Borkowski, zbyt rzadko, niestety, odzywający się i zbyt mało udzielający, z następnym zwrócił się do niej wierszykiem:

Opowiadają prorocy,
Że był w Salomona mocy
Jakiś wieszczu duch zaklęty,
Który na jego rozkazy
Rzucał w pieśni dyamenty,
Przemieniał w perły wyrazy.
Wieki leżała ukryta
Tych zaklęć tajemna siła,
Aż wreszcie polska wróżyta,
Deotyma—przemówiła:
I znowu na jej rozkazy
Jakiś wieszczu duch zaklęty
Przemienia w perły wyrazy,
Sypie w pieśni dyamenty.

Publicznych odczytów miała Deotyma trzy podczas pobytu swego tutaj; z tych dwa na pomnik Mickiewicza, a jeden na dochód stowarzyszenia „Rodzina“. Na pierwszym odczytała prolog i trzeci akt poematu fantastyczno-dramatycznego *Wanda*, na drugim początek *Jadwigi*, na trzecim „Baśń o wdowie i jej trzech synach“. Na wszystkich sala przepelniona była natłokiem publiczności, witającej za każdym razem bardzo sympatycznie prelegentkę. Piękność odczytanych utworów powszechne uczyniła wrażenie. Mityczny świat fantazyi, świat fantazyi, świat przedhistorycznej legendy, cudownością opromienionego podania: to najwłaściwsze pole twórczego talentu Deotymy, i na tem tle grupuje ona z niezrównaną plastyką a bogactwem pomysłów wspaniałe obrazy. Szlachetność rysunku, opromienionego grą bajnej zawsze fantazyi, i prawdziwy zmysł artystyczny, objawiający się w układzie wszystkich szczegółów, wiążących się w całość kompozycji: stanowią główną cechę i urok utworów Deotymy. Prześlicznie musiały się wydawać przedstawione przed laty w Warszawie żywe obrazy z *Wandy*, układu Lessera; albowiem jest tu wiele scen grupujących się malowniczo, jakby w marmurze rzeźbionych.

W przeddzień odjazdu zaprosiła Deotyma na wieczór pożegnalny do siebie ściślejsze grono tych, co ją tutaj przyjmowali i podejmowali. Na zebraniu tem znajdował się także poseł Tonner, który przyjechał z Pragi na wezwanie, aby tu mieć także odczyt na rzecz pomnika Mickiewicza. Przyjechawszy tego wieczora, prosto z dworca kolei, przybył na zebranie do Deotymy, gdzie go serdecznie witano, a towarzyska pogadanka w dobranym gronie przeciągnęła się dopóki w noc. Nazajutrz Tonner mówił o upadku narodowości czeskiej pod wpływem ogarniającej całe społeczeństwo germanizacji, przez parę

set lat, mianowicie od niefortunnego wyniku bitwy pod Białą Górą, i o podźwignieniu się społeczeństwa czeskiego w bieżącym stuleciu przez pracę organiczną i oświatę, skutkiem gorliwych usiłowań małej z początku liczby mężów oddanych sprawie narodowej, których koło wszakże rozszerzało się szybko i potęgniało. Tonner skreślił żywymi barwy obecny stan oświaty w Czechach i kierunek dążeń społeczeństwa czeskiego, w obecnej chwili, wysnuwając ztąd wiele pouczających i przemawiających do przekonania wskazówek. Po odczycie długim, prawie dwugodzinnym, a pomimo tego wysłuchanym z wielkiem zajęciem od pierwszego do ostatniego słowa, obecna Deotyma zaofiarowała prelegentowi bukiet z *bratków* z pięknym wierszem zawierającym aluzję do pobratymstwa z Czechami, którego symbolem są te proste a wdzięczne kwiaty w zaraniu wiosny uszczelnione. Improwizacyą zakończyła wspomnieniem, że z Czechami łączą nas węzły odwieczne: światło wiary przyniesione przez Dąbrówkę i pieśń św. Wojciecha.

Tegoż wieczora wyprawiono ucztę na cześć Tonnera, na której znajdowało się sto kilkadziesiąt osób. Tonner, jako poseł czeski w Radzie Państwa, jest głównym wyrazem parlamentarnego sojuszu Czechów z Kołem Polskiem, skutkiem którego-to sojuszu obóz centralistyczny niemiecki pozostał w mniejszości i zmuszony został ustąpić od steru rządów Przedlitawii, tak niefortunnie przez lat dziewięć dzierżonego. Dopiero wstąpienie posłów czeskich do Rady Państwa i połączenie się z delegacją polską w Radzie Państwa zasiadającą, wytworzyło inną kombinację parlamentarną i oddało ster rządów obecnej większości. Chciano tedy, ugaszczając tutaj Tonnera, uczcić te zasady i ów kierunek polityki, oparty na łączności Czechów i Polaków w Radzie Państwa, którego on jest głównym rzecznikiem. Myśl ta wyrażała się we wszystkich, licznie podnoszonych podczas bankietu, toastach i w całym, szczerze gościnnym, przyjęciu, jakiego tutaj doznał poseł Tonner.

Po odejściu Deotymy i Tonnera, dawna zapawa cisza; wróciliśmy w dawne karby powszedniego życia. Cały tydzień ubiegły spędziliśmy gorączkowo, w niezwykle podniosłym nastroju. Tentna życia umysłowego uderzały silniej niż zwykle, oddychaliśmy poezją, tonęli wzrokiem w jej promienistych światłach. Obecnie wypoczywamy po doznanych wrażeniach; zabieramy się do dawnych prac chwilowo przerwanych. Z końcem postu skończyły się rozpoczęte szeregi odczytów, trwających przez zimę. Pani Felicja Boberska, pełna zasług nieustrudzona pracowniczka na polu naukowym i wychowawczym, będąca prawdziwą chlubą naszych sfer pedagogicznych, miała tu wykłady o *znakomitych mężach Złotego Wieku Zygmunta* i zapowiedziała jeden jeszcze na cel dobroczynny odczyt o *Karolu Bałłskim i Henryku Jabłońskim* obu zmarłych przedwcześnie, których talent poetyczny zabłysł chwilowo jak przelotny meteor w dziedzinie naszej literatury. Odczyty p. Boberskiej, w których skreśliła charakterystykę czasów Zygmunta, przedstawioną w najwybitniejszych postaciach epoki, były nadzwyczaj zajmujące i nauczające, a zarazem ogrzane ciepłem gorącej duszy i podniosłych szlachetnych przekonań. W bieżącym tygodniu zakończyły się też wykłady Towarzystwa Polytechnicznego dwoma odczytami dyrektora tutejszego Muzeum Przemysłowego, p. Wierzbickiego, o *ceramice*. P. Wierzbicki skreślił treściwie dzieje ceramiki od najdawniejszych czasów, ilustrując swój wykład licznymi okazami, bądź oryginalnymi, bądź też imitacjami lub rysunkami naczyń etruskich, pompejańskich, majolik włoskich, francuskich i t. p., co treść tych odczytów bardziej jeszcze urozmaicało i zajmującą czyniło. Znaczną część wykładu drugiego poświęcił p. Wierzbicki dziejom garncarstwa w Polsce i skreślił obszerny rys fabrykacji fajansów i porcelany u nas przed laty kilkadziesiąt. Okazane wyroby porcelanowe fabryki Koreckiej pod zarządem braci Mezerów, fabryki w Baranówce, Cieszacinie i innych, świadczą na jakim wysokim stopniu fabrykacja ta stała u nas chwilowo pod umiejętnym zdolnych mi-

strzów kierunkiem. Zestawione dla porównania porcelany nasze z porcelaną saską i francuską współczesną, w niczem jednej i drugiej nie ustępują, czego uderzającym dowodem są okazane przez prelegenta dwie filiżanki, wykonane według wzoru filiżanki chińskiej, jedna saska a druga korecka, tak ściśle wzór chiński naśladowane, iż jednej od drugiej rozróżnić nie można, jak tylko przez to, iż korecka jeszcze jest delikatniejszą i przejrzystszą od saskiej. Fabryka Cieszacińska dekoruje bardzo ozdobiście i wytwornie porcelanę francuską, umyślnie w tym celu sprowadzaną. Muzeum tutejsze posiada dwie takie filiżanki, jedną z popiersiem Maryi Leszczyńskiej, drugą z popiersiem Kraszewskiego.

Fajanse glińskie sławne były niegdyś, dorównując niemal porcelanie ozdobną powierzchnością, mocą materiału i dobrym smakiem rysunku i kształtu naczyń tu wyrabianych. Obecnie fabryka w Glińsku podupadła, a fabryk porcelany w Galicyi nie posiadamy. Garncarstwo jednak w niektórych okolicach pomyślnie się rozwija, a szkoła garncarska w Kołomyi posunęłaby znakomicie tę gałąź przemysłu u nas, gdyby trzymała się bardziej wzorów swojskich, a mniej modelowała swe wyroby według importowanego z kądinąd smaku, który czasem zatarłby cechę rodzimą domowej naszej ceramiki. Ale do tego potrzeba, aby szkoły garncarskie były pod kierunkiem krajowców, bo nauczyciele przez rząd z zagranicy przysyłani, jakkolwiek mogą być biegli w technice garncarskiej, nie pojmują charakteru ni wy magań rodzimych, że tak powiem, stylu, właściwego naszemu garncarstwu. Uwagi te nasunęły mi się podczas wystawy przemysłowej kołomyjskiej przed dwoma laty. Garncarstwo najznakomiciej rozwija się u nas obecnie na Pokuciu. Szkoda-by była wielka, gdyby straciło czasem typowy swój charakter. Oprócz naczyń najrozmaitszego kształtu, do wszelkiego domowego użytku, widziałem na wystawie kołomyjskiej piece kaflowe, polewane, z różnokolorowych kafli, doskonałego wyrobu. Piece te rozchodzą się na całą Galicyę i mają już swoją ustaloną sławę. Są przytem ozdobione rozmaitemi malowidłami i ornamentami w ogniu wypalaniem, często napisami, świadczącymi, podobnie jak i kształt cały, o fantazji i humorze swoich twórców. Dwóch mistrzów tego rodzaju posiada Pokucie, których wyroby zjednały sobie zdawną krajową sławę. Obadwaj pochodzą z tradycyjnie garncarstwem trudniących się rodzin, ale sztukę tę własną pracą i pomysłowością znacznie udoskonalili. Szóstopalski i zmarły w tych dniach Bachmiński, obaj autodydakci w swym zawodzie, usiłują nadać swym wyrobom powierzchnię artystyczną, chociaż, co prawda, artyzm to jeszcze bardzo niemowlęcy, bardziej o dobrych chęciach niżeli o wykwinnym artystycznym smaku świadczący. Garncarze nasi bywają też filozofami i moralistami. Wspomniałem o napisach, które często zdobia gzemysy pieców lub tarcze frontowe. Napisy te zawierają nieraz sentencje moralne, uwagi poważne lub żartobliwe, z których się uśmieć można, lub nad którymi czasem zastanowić się warto. Temi czasami przysłał Bachmiński do tutejszego muzeum przemysłowego garnek wybornie wypalony z pokrywą, na której zpod spodu znajduje się napis:

„Wszystko się w świecie pod pokrywką dzieje“.

Czyż to nie garncarz filozof, co umie wzrokiem psychologa przeniknąć skrytości światowe?

(Dokończenie nastąpi)

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH w Królestwie Polskim w 1881 r.

W Marcu odbyło się doroczne zebranie ogólne członków tej instytucji. Zarząd zdał sprawę ze swych czynności, a stowarzyszeni wybrali zpo-

między siebie nowe władze na 1882/3 r. *Sprawozdanie* ogłoszone drukiem, a rozdawane bezpłatnie członkom rzeczywistym, obejmuje: głos Delegacji Rachunkowej, głos Komitetu z 9 annexami, Nekrologią, Skład Zarządu Towarzystwa, Listy członków honorowych, rzeczywistych i zwyczajnych, Katalog dzieł sztuki wystawionych w roku ubiegłym, szczegółową, gruntowną rzecz p. Wojciecha Gersona o domu własnym towarzystwa, istniejącym od wielu lat już w projekcie, — i nakoniec wyszły zpod pióra prof. Struvego życiorys ś. p. Karola Klossa, z takim żalem miłośników sztuki i z taką dla niej stratą w Maju r. z. zmarłego. Życiorys ten ilustrują dwa drzeworyty: *podobizna nieboszczyka*, ryta przez Holewińskiego, wzięta z *Kłosów*, oraz starannie odrysowana przez p. Buchbindera, a wyrzyta przez p. Przykorskiego *Tarpeia*, ostatnie dzieło przedśmierne tak wcześniej zgasłego artysty i zarazem najwomniejsze talenty jego świadectwo. Nadto w sprawozdaniu znajduje się jeszcze drzeworyt z pamiętkowego obrazu, będącego obecnie własnością Towarzystwa, a przedstawiającego w młodym wieku dwadzieścia kilka lat temu zdjętych z natury przez Murzynowskiego sześciu artystów warszawskich: Gersona, Simmlera, Tegazza, Zarzeckiego, Sypniewskiego i Ceglińskiego. Z dawniejszej epoki przypominano w *Sprawozdaniu*, wyobrażeniami oblicz, dwóch malarzy: Kokulara Antoniego i Pfanhausera Franciszka. Szósty drzeworyt w *Sprawozdaniu* odtwarza *Kometę*, rysunek A. Grotgera, nabyty przez Towarzystwo; siódmy wreszcie i ostatni — *Poranek* z obrazu olejnego Sidorowicza Zygmunta, nieżyjącego dziś już artysty lwowskiego; obraz ten zakupiło Towarzystwo w roku ubiegłym do swych zbiorów. Całe *Sprawozdanie* ma str. VI i 60 in 4-to majori; drukowane jest we dwa łamy u Kowalewskiego w Warszawie: mogłaby więc z niego być spora książka, i dla ludzi śledzących u nas rozwój zamięłowania do sztuki będzie ono miało prawie wartość samoistnej książki, a nietylko urzędowej relacji. Drzeworyty staranne.

Sprawozdanie przekonywa nas, że ostatecznie konkurencja pp. Ungra i Krywulca, oraz współzawodnictwo bardzo popularnej i w celach tej popularności dobrze prowadzonej instytucji, Towarzystwu Zachęty pokrewnej, mianowicie krakowskiego Towarzystwa Przyj. Sz. Pięk. nie pomogły wprowadzić, ale też nie zagroziły bytowi instytucji warszawskiej. Członków rzeczywistych nowych przystąpiło tylko o 44 mniej niż w 1880 r.; dzieł sztuki zakupiono mniej o 2, a wydano na zakup mniej o 491 rs. Członków korespondentów w 1881 r. było 91, najwięcej w Warszawie, bo 36, najmniej stosunkowo w Wilnie i Poznaniu, w pierwszym mieście 2, w drugim 1. Korespondenci są właściwie agentami Towarzystwa; agentury te sięgają daleko: jest jedna w Kutaisie za Kaukazem, a sprzedano w niej 9 dowodów składkowych; agentura w Helsingforsie sprzedała 4 dowody, w Kazaniu aż 12. Gdyby były bliższe wskazówki co do położenia miejscowości agentur, możnaby ułożyć statystykę ruchu, w Poznańskim i w Prusach, w guberniach zwanych południowo-zachodnimi, w Królestwie Polskiem i we wszystkich pozostałych miejscowościach. W Galicyi Towarzystwo korespondentów i zbytu na dowody składkowe nie ma wcale, w W. X. Poznańskim i w Prusach niezmiernie mało; głównie opiera się na Warszawie. Ta dostarcza mu i najwięcej członków, wszystkich czterech kategorii, i największy daje dochód.

Wszystkich członków w 1881 r. liczyło Towarzystwo, według list podanych w *Sprawozdaniu*: I. Honorowych 30; II. Rzeczywistych: a) artystów: 58 malarzy (pomiędzy nimi p. Redlich), 16 rzeźbiarzy i 56 (!) budowniczych — łącznie 130; b) miłośników 1.512, (według ogólnikowej wskazówki *Sprawozdania* 1.514); III. zwyczajnych 1.307 — ogółem 2.849.

Członkowie honorowi są protektorami Towarzystwa. W 1881 r. było w ich liczbie aż dwadzieścia kobiet, a tylko dziesięciu mężczyzn, pomiędzy nimi Kraszewski, Siemiradzki, Łepkowski Józef prof. Uniw. Jagiel., Łuszczkiewicz Wład., prof. Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, Sosnowski i sławny artysta rosyjski Ajwazowski.

— Aż do tego momentu, a od tego momentu ja tu kommanderuję, — zawołał Wolski, — słyszysz waćpan?

— Słyszę, ale nie wiem: czy mam uszom wierzyć? — rzekł Butrym, — więc pan łowczy do gotowego?

Zasłabł się.

Faworyt odwrócił się doń z brwią namarszczoną.

— Nie lubię rezonowania! Na miejsce, mości podłowczy.

Butrym chwilę stał jak skamieniały, blednął, drżał, ręka mu się podnosiła, opadała, okrutny gniew piersi mu napęniał. Gdyby się nie wstrzymywał, byłby zuchwalca płaćnął, ale przechrztał mu śmierdząc: nie chciał z nim się ucierać.

— Pojadę po rozkazy do księcia, — rzekł głosem od gniewu drżącym, — zobaczmy.

— Ja wprost od księcia przybywam, nie masz się co acań fatygować, — krzyknął Wolski, — a jeżeli mi się tu z placu oddalisz na pięć minut, nie masz poco powracać!

Butrym już był wściekły, jak błyskawica; myśl mu nagle przysła: rzucić wszystko, służbę, księcia, wyrzec się miejsca, a nie dać nad sobą przewodzić mechesowi.

— Doprawdy? — podchwycił szydersko. Wolski, spojrzawszy piorunującym wzrokiem. Butrym śmiał się.

Na szyderstwo Wolski był bardzo czuły, złość go porwała straszna.

— Ty chłystku jakiś? — zawarczał.

— Milcz, mechesie! — odparł Butrym, — albo...

(Dalszy ciąg nastąpi)

SKRYTE ŁZY

(z czeskiego)

El. Krasnohorskiej.

Gdy mi z serca łza popłynie,
Skryję ją przed światem w głębi:
Niechaj radość ją ominie,
Niech łza—radości nie zziębi.
Wszak nie zazdroścę nikomu,
Gdy mu śmiech usta okoli:
Pozwólcież mi pokryjomu
Zapłakać, gdy serce boli.
Szczęścia nie biorę wam przecie:
Czemuż łzy chcecie mi brać?
Ze łzami serce weźmiecie—
Bez serca mogę-ż się śmiać?

J. Morawska.

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Marcu 1882 r.

Deotyma we Lwowie. — Odczyt Tonnera. — Odczyty p. Felicyi Boberskiej *O znakomitych mężach Wielu Zygmuntowskiego* i p. Ludwika Wierzbickiego *O ceramice*. — Garncearstwo dzisiejsze. — Wystawa stolarszczyzny w Muzeum Przemysłowem zapowiedziana. — Wyjazd prof. Ochorowicza. — Czynności *Koła literackiego*. Towarzystwo Oświaty Ludowej. — Opatrzność. — Dom pracy i przytulku. — Woda we Lwowie. — Teatr amatorski i żywe obrazy. — Obecny stan teatru. — Wystawa obrazów. — Grupy symboliczne przed gmachem sejmowym. — Plaskorzeźby Szimsersa. — † Alfred Młocki.

Przyjazd Deotymy ożywił bardzo niektóre sfery tutejsze. Rolę gospodarza przyjął z natury rzeczy *Koło literackie*, którego zarząd powitał przybywającą na dworcu kolei. Przedniejsze domy tutejszej arystokracji ubiegały się między sobą w gościnem przyjmowaniu poetki, znanej

przedtem tylko jako świetny meteor, zdala blaskiem promieniający; wszyscy pragnęli poznać poetkę, zbliżyć się do niej i hold swój jej złożyć. Pierwszy raz wystąpiła Deotyma publicznie nazajutrz po swem przybyciu, na poranku literacko-muzykalnym, urządzonym w dzień ś. Józefa przez *Koło literackie*, na cześć Bohdana Zaleskiego. Uproszona przez *Koło*, zagaiała tę uroczystość jubileuszową prologiem, pełnym głębokiej myśli, którego nastrój podniosły a smutny, odpowiedni uroczystości chwili, udzielił się słuchaczom i zachwycił wszystkich. Gościńnię naszej pieśni, laurem wysłany, przycichł i osamotniał. Od śmierci wielkiego Adama—w koło jego mogiły *coraz milczeniu szerzej, coraz grobom ciśnieć*—a z dawnych hetmanów pieśni jeden tylko pozostał, *wspinały w samotności swojej*, tułacz teorbanista, którego pieśni mają ruszałek strój różnowzory a szumią w nich świsty bojowych chorągiewek i stepowych podków tententy.... W ten sposób scharakteryzowawszy istotę poezji Bohdana, zakończyła Deotyma śliczny swój prolog słowami do głębi duszy wzruszającymi słuchaczy.

Szereg wieczorów urządzonych na przyjęcie Deotymy, rozpoczął wieczór u księżny Leonowej Sapieżyny, gdzie zebrało się około stu osób, wybór towarzystwa tutejszego. Obok najwyższych sfer arystokratycznych jaśniejących historycznymi imionami, jak Sapiehowie, Czartoryscy, Dzie duszycy, znajdował się tutaj kwiat inteligencji i wszystkie nasze znakomitości literackiego i artystycznego świata. Od lat kilku, od śmierci nieodżałowanej pamięci księcia Leona Sapiehy, okryte żałobą salony książąt Sapiechów, po raz pierwszy zgromadziły tak liczne grono gości i ożywiły się jak dawniej. Przyjęcie było pełne uprzejmej, serdecznej gościnności. Deotyma odczytała rozdział z pięciotomowej powieści, opisującej dwór krakowski królowej Kingi, czyniącej przygotowania do przedstawienia jasełek. Czarodziejską różdżką twórczej fantazyi po wieściu wiekach wskrzeszone, stanęły przed naszymi oczyma owe starożytne komnaty pobożnej królowej, wraz z całym jej dworem i otoczeniem, w opisie z taką plastyką i znajomością dokonany, jakby wprost z życia zdjęty. Rozdział ten, stanowiący zaokrąglony w sobie, charakterystyczny obraz czasu i dworu Bolesława, zakończył się śliczną legendą dworskiego poety Gaudentego. Po odczytaniu autorka, obsypana oklaskami i podziękowaniami, zaimprovizowała pod wrażeniem chwili krótki wiersz na cześć dostojnych gospodarzy domu, czyniąc aluzję do starożytnej chwały i cnót rodzinnych książęcego domu. Wieczór zakończył się koncertem. Mikuli grał na fortepianie, a pani L. odśpiewała parę aryj. Wieczór ten pozostał najmielszym wspomnieniem dla wszystkich, a zapewne i dla Deotymy, która miała tu po raz pierwszy sposobność zaznajomienia się z najświetniejszymi sferami lwowskiego towarzystwa.

Nazajutrz podejmowało poetkę *Koło literackie* rautem wieczornym, urządzonym na jej cześć w salach Kassyna Miejskiego. Zgromadzili się tu wszyscy prawie członkowie *Koła*, wszystkie znakomitości Lwowa, zajmujące wybitniejsze stanowisko w tutejszych towarzyskich i umysłowych sferach. Zaproszeni przez *Koło*, przybyli pomiędzy innymi: marszałek sejmu Zybkiewicz, wiceprezydent namiestnictwa Zaleski, prezydent miasta, księstwo Sapiehowie, ks. Romanowstwo Czartoryscy, Włodzimierzowstwo Dzieduszyccy, Rusocy. Wieczór był świetny pod każdym względem, w całym tego słowa znaczeniu. Panie przyjęły Deotymę u wstępu do głównej sali, a prezes *Koła literackiego* prof. Kubala, powitał ją tutaj stosowną przemową, na którą Deotyma odpowiedziała czterowierszem, odnoszącym się do prac historycznych prof. Kubali, posiadających obok głębokiej treści piękność wyrazu, którą poetka odczuwa

Myślą lutnistki, a sercem kobiety.

Po herbacie i odśpiewaniu przez chór męzki stosownej kantaty, na nutę Mendelsohna, wręczył Deotymie, sekretarz *Koła literackiego*, imieniem tegoż, bukiet, wygłaszając zarazem udany wiersz własnego utworu. Deotyma odpowiedziała dłuższym, przesłicznym wierszem, peł-

nym, nie tylko prawdziwie poetycznego polotu, ale zarazem serdecznego ciepła, które, udzielając się wszystkim obecnym, nastrój duchowy zgromadzenia, do wysokiego podniosło stopnia. Wszyscy byli wzruszeni, uniesieni, a otaczając kapłankę pieśni, wywołującą tak rzewne tony ze wspaniałej swej liry, dziękowali za te kwiaty myśli i uczuć, rzucone na pamiątkę tak podniosłej chwili. Śród takiego usposobienia, ogarniającego wszystkich obecnych, wystąpił Platon Kostecki, autor jubileuszowego wiersza na cześć Kalderona, za który otrzymał nagrodę akademicką, medal złoty, i wygłosił wiersz, którego ton szczytny i natchniony odpowiadał nastrojowi powszechnemu. Z widocznym przejęciem, ze wzruszeniem malującym się żywo w obliczu i wzroku natchnionym, słuchała Deotyma szczytnych i rzewnych słów poety, któremu znowu zaimprovizowanym odpowiedziała czterowierszem. Wspaniałym hymnem zakończyła orkiestra tę podniosłą i wzruszającą scenę, a chór męzki pożegnał znowu kantatą odchodzącą Deotymę.

Nazajutrz poetka była w teatrze, na urządzonym umyślnie dla niej przedstawieniu *Krakowiacy i Górale*.

Na wieczorze u hrabiostwa Włodzim. Dzieduszyckich wygłosiła *Ode do miłości*, poczem obecny tamże Leszek Borkowski, zbyt rzadko, niestety, odzywający się i zbyt mało udzielający, z następnym zwrócił się do niej wierszykiem:

Opowiadają prorocy,
Że był w Salomona mocy
Jakiś wieszcz duch zaklęty,
Który na jego rozkazy
Rzucił w pieśni dyamenty,
Przemieniał w perły wyrazy.
Wieki leżała ukryta
Tych zaklęć tajemna siła,
Aż wreszcie polska wróżyła,
Deotyma—przemówiła:
I znowu na jej rozkazy
Jakiś wieszcz duch zaklęty
Przemienia w perły wyrazy,
Sypie w pieśni dyamenty.

Publicznych odczytów miała Deotyma trzy podczas pobytu swego tutaj; z tych dwa na pomnik Mickiewicza, a jeden na dochód stowarzyszenia „Rodzina“. Na pierwszym odczytała prolog i trzeci akt poematu fantastyczno-dramatycznego *Wanda*, na drugim początek *Jadwigi*, na trzecim „Baśń o wdowie i jej trzech synach“. Na wszystkich sala przepełniona była natłokiem publiczności, witającej za każdym razem bardzo sympatycznie prelegentkę. Piękność odczytanych utworów powszechne uczyniła wrażenie. Mityczny świat fantazyi, świat fantazyi, świat przedhistorycznej legendy, cudownością opromienionego podania: to najwłaściwsze pole twórczego talentu Deotymy, i na tem tle grupuje ona z niezrównaną plastyką a bogactwem pomysłów wspaniałe obrazy. Szlachetność rysunku, opromienionego grą bujnej zawsze fantazyi, i prawdziwy zmysł artystyczny, objawiający się w układzie wszystkich szczegółów, wiążących się w całość kompozycji: stanowią główną cechę i urok utworów Deotymy. Prześlicznie musiały się wydawać przedstawione przed laty w Warszawie żywe obrazy z *Wandy*, układu Lessera; albowiem jest tu wiele scen grupujących się malowniczo, jakby w marmurze rzeźbionych.

W przeddzień odjazdu zaprosiła Deotyma na wieczór pożegnalny do siebie ściślejsze grono tych, co ją tutaj przyjmowali i podejmowali. Na zebraniu tem znajdował się także poseł Tonner, który przyjechał z Pragi na wezwanie, aby tu mieć także odczyt na rzecz pomnika Mickiewicza. Przyjechawszy tego wieczora, presto z dworca kolei, przybył na zebranie do Deotymy, gdzie go serdecznie witano, a towarzyska pogadanka w dobranem gronie przeciągnęła się dopótna w noc. Nazajutrz Tonner mówił o upadku narodowości czeskiej pod wpływem ogarniającej całe społeczeństwo germanizacji, przez parę

set lat, mianowicie od niefortunnego wyniku bitwy pod Białą Górą, i o podźwignieniu się społeczeństwa czeskiego w bieżącym stuleciu przez pracę organiczną i oświatę, skutkiem gorliwych usiłowań malej z początku liczby mężów oddanych sprawie narodowej, których koło wszakże rozszerzało się szybko i potęgowało. Tonner skreślił żywymi barwy obecny stan oświaty w Czechach i kierunek dążności społeczeństwa czeskiego, w obecnej chwili, wysnuwając ztąd wiele pouczających i przemawiających do przekonania wskazówek. Po odczycie długim, prawie dwugodzinnym, a pomimo tego wysłuchanym z wielkiem zajęciem od pierwszego do ostatniego słowa, obecna Deotyma zaofiarowała prelegentowi bukiet z *bratków* z pięknym wierszem zawierającym aluzję do pobratymstwa z Czechami, którego symbolem są te proste a wdzięczne kwiaty w zaraniu wiosny uszczknione. Improwizacją zakończyła wspomnieniem, że z Czechami łączą nas węzły odwieczne: światło wiary przyniesione przez Dąbrówkę i pieśń św. Wojciecha.

Tegoż wieczora wyprawiono ucztę na cześć Tonnera, na której znajdowało się sto kilkadziesiąt osób. Tonner, jako poseł czeski w Radzie Państwa, jest głównym wyrazem parlamentarnego sojuszu Czechów z Kołem Polskiem, skutkiem którego-to sojuszu obóz centralistyczny niemiecki pozostał w mniejszości i zmuszony został ustąpić od steru rządów Przedlitawii, tak niefortunnie przez lat dziewięć dzierżonego. Dopiero wstąpienie posłów czeskich do Rady Państwa i połączenie się z delegacją polską w Radzie Państwa zasiadającą, wytworzyło inną kombinację parlamentarną i oddało ster rządów obecnej większości. Chciano tedy, ugaszczając tutaj Tonnera, uczcić te zasady i ów kierunek polityki, oparty na łączności Czechów i Polaków w Radzie Państwa, którego on jest głównym rzecznikiem. Myśl ta wyrażała się we wszystkich, licznie podnoszonych podczas bankietu, toastach i w całym, szczerze gościnnym, przyjęciu, jakiego tutaj doznał poseł Tonner.

Po odejściu Deotymy i Tonnera, dawna zapamiętała cisza; wróciliśmy w dawne karby powszedniego życia. Cały tydzień ubiegły spędziliśmy gorączkowo, w niezwykle podniosłym nastroju. Tentna życia umysłowego uderzały silniej niż zwykle, oddychaliśmy poezją, toneli wzrokiem w jej promienistych światłach. Obecnie wypoczywamy po doznanych wrażeniach; zabieramy się do dawnych prac chwilowo przerwanych. Z końcem postu skończyły się rozpoczęte szeregi odczytów, trwających przez zimę. Pani Felicja Boberska, pełna zasług niestrudzona pracowniczka na polu naukowym i wychowawczym, będąca prawdziwą chlubą naszych sfer pedagogicznych, miała tu wykłady o *znakomitych mężach Złotego Wieku Zygmunta* i zapowiedziała jeden jeszcze na cel dobroczynny odczyt o *Karolu Bałłskim i Henryku Jabłońskim* obu zmarłych przedwcześnie, których talent poetyczny zabłysł chwilowo jak przelotny meteor w dziedzinie naszej literatury. Odczyty p. Boberskiej, w których skreśliła charakterystykę czasów Zygmunta, przedstawioną w najwybitniejszych postaciach epoki, były nadzwyczaj zajmujące i nauczające, a zarazem ogrzane ciepłem gorącej duszy i podniosłych szlachetnych przekonań. W bieżącym tygodniu zakończyły się też wykłady Towarzystwa Polytechnicznego dwoma odczytami dyrektora tutejszego Muzeum Przemysłowego, p. Wierzbickiego, o *ceramice*. P. Wierzbicki skreślił treściwie dzieje ceramiki od najdawniejszych czasów, ilustrując swój wykład licznymi okazami, bądź oryginalnymi, bądź też imitacjami lub rysunkami naczyń etruskich, pompejańskich, majoli włoskich, francuskich i t. p., co treść tych odczytów bardziej jeszcze urozmaicało i zajmującą czyniło. Znaczną część wykładu drugiego poświęcił p. Wierzbicki dziejom garncarstwa w Polsce i skreślił obszerny rys fabrykacji fajansów i porcelany u nas przed laty kilkadziesiąt lat. Okazane wyroby porcelanowe fabryki Koreckiej pod zarządem braci Mezerów, fabryki w Baranówce, Cieszacinie i innych, świadczą na jakim wysokim stopniu fabrykacja ta stała u nas chwilowo pod umiejętnym zdolnych mi-

strzów kierunkiem. Zestawione dla porównania porcelany nasze z porcelaną saską i francuską społeczną, w niczem jednej i drugiej nie ustępują, czego uderzającym dowodem są okazane przez prelegenta dwie filiżanki, wykonane według wzoru filiżanki chińskiej, jedna saska a druga korecka, tak ściśle wzór chiński naśladowane, iż jednej od drugiej rozróżnić nie można, jak tylko przez to, iż korecka jeszcze jest delikatniejszą i przejrzyściejszą od saskiej. Fabryka Cieszacinska dekoruje bardzo ozdobnie i wytwornie porcelanę francuską, umyślnie w tym celu sprowadzaną. Muzeum tutejsze posiada dwie takie filiżanki, jedną z popiersiem Maryi Leszczyńskiej, drugą z popiersiem Kraszewskiego.

Fajanse glinkie sławne były niegdyś, dorównując niemal porcelanie ozdobną powierzchnością, mocą materiału i dobrym smakiem rysunku i kształtu naczyń tu wyrabianych. Obecnie fabryka w Glinisku podupadła, a fabryk porcelany w Galicyi nie posiadamy. Garncarstwo jednak w niektórych okolicach pomyślnie się rozwija, a szkoła garncarska w Kołomyi posunęłaby znakomicie tę gałąź przemysłu u nas, gdyby trzymała się bardziej wzorów swojskich, a mniej modelowała swe wyroby według importowanego z kądinąd smaku, który czasem zatarłby cechę rodzimą domowej naszej ceramiki. Ale do tego potrzeba, aby szkoły garncarskie były pod kierunkiem krajowców, bo nauczyciele przez rząd z zagranicy przysyłani, jakkolwiek mogą być biegli w technice garncarskiej, nie pojmują charakteru ni wymagań rodzimego, że tak powiem, stylu, właściwego naszemu garncarstwu. Uwagi te nasunęły mi się podczas wystawy przemysłowej kołomyjskiej przed dwoma laty. Garncarstwo najznakomiciej rozwija się u nas obecnie na Pokuciu. Szkoda-by była wielka, gdyby straciło czasem typowy swój charakter. Oprócz naczyń najrozmaitszego kształtu, do wszelkiego domowego użytku, widziałem na wystawie kołomyjskiej piece kaflowe, polewane, z różnokolorowych kafli, doskonałego wyrobu. Piece te rozchodzą się na całą Galicyę i mają już swoją ustaloną sławę. Są przytem ozdobione rozmaitemi malowidłami i ornamentami w ogniu wypalanymi, często napisami, świadczącymi, podobnie jak i kształt cały, o fantazji i humorze swoich twórców. Dwóch mistrzów tego rodzaju posiada Pokucie, których wyroby zjednały sobie zdawna krajową sławę. Obadwaj pochodzą z tradycyjnie garncarstwem trudniących się rodzin, ale sztukę tę własną pracą i pomysłowością znacznie udoskonalili. Szóstopalski i zmarły w tych dniach Bachmiński, obaj autodydakci w swym zawodzie, usiłują nadać swym wyrobom powierzchność artystyczną, chociaż, co prawda, artyzm to jeszcze bardzo niemowlecy, bardziej o dobrych chęciach niżeli o wykwiśniętym artystycznym smaku świadczący. Garncarze nasi bywają też filozofami i moralistami. Wspomniałem o napisach, któremi często zdobią gzemys pieców lub tarcze frontowe. Napisy te zawierają nieraz sentencje moralne, uwagi poważne lub żartobliwe, z których się uśmieć można, lub nad któremi czasem zastanowić się warto. Temi czasami przysłał Bachmiński do tutejszego muzeum przemysłowego garnek wybornie wypalony z pokrywą, na której zpod spodu znajduje się napis:

„Wszystko się w świecie pod pokrywką dzieje“.

Czyż to nie garncarz filozof, co umie wzrokiem psychologa przenikać skrytości światowe?

(Dokończenie nastąpi)

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH w Królestwie Polskim w 1881 r.

W Marcu odbyło się doroczne zebranie ogólne członków tej instytucji. Zarząd zdał sprawę ze swych czynności, a stowarzyszeni wybrali zpo-

między siebie nowe władze na 1882/3 r. *Sprawozdanie* ogłoszone drukiem, a rozdawane bezpłatnie członkom rzeczywistym, obejmuje: głos Delegacji Rachunkowej, głos Komitetu z 9 annexami, Nekrologią, Skład Zarządu Towarzystwa, Listy członków honorowych, rzeczywistych i zwyczajnych, Katalog dzieł sztuki wystawionych w roku ubiegłym, szczegółową, gruntowną rzecz p. Wojciecha Gersona o domu własnym towarzystwa, istniejącym od wielu lat już w projekcie, — i nakoniec wyszły zpod pióra prof. Strawego życiorys s. p. Karola Klossa, z takim żalem miłośników sztuki i z taką dla niej stratą w Maju r. z. zmarłego. Życiorys ten ilustrują dwa drzeworyty: *podobizna nieboszczyka*, ryta przez Holewińskiego, wzięta z *Kłósów*, oraz starannie odrysowana przez p. Buchbindera, a wyryta przez p. Przykorskiego *Tarpeia*, ostatnie dzieło przedśmiertne tak wcześniej zgasłego artysty i zarazem najwymowniejsze talenty jego świadectwo. Nadto w sprawozdaniu znajduje się jeszcze drzeworyt z pamiątkowego obrazu, będącego obecnie własnością Towarzystwa, a przedstawiającego w młodym wieku dwadzieścia kilka lat temu zdjętych z natury przez Murzynowskiego sześciu artystów warszawskich: Gersona, Simmlera, Tegazza, Zarzeckiego, Sypniewskiego i Ceglińskiego. Z dawniejszej epoki przypomniano w *Sprawozdaniu*, wyobrażeniami oblicz, dwóch malarzy: Koklara Antoniego i Pfanhausera Franciszka. Szósty drzeworyt w *Sprawozdaniu* odtwarza *Kometę*, rysunek A. Grotgera, nabyty przez Towarzystwo; siódmy wreszcie i ostatni — *Poranek* z obrazu olejnego Sidorowicza Zygmunta, nieżyjącego dziś już artysty lwowskiego; obraz ten zakupiło Towarzystwo w roku ubiegłym do swych zbiorów. Całe *Sprawozdanie* ma str. VI i 60 in 4-to majori; drukowane jest we dwa łamy u Kowalewskiego w Warszawie; mogłaby więc z niego być spora książka, i dla ludzi śledzących u nas rozwój zamięłowania do sztuki będzie ono miało prawie wartość samostojnej książki, a nie tylko urzędowej relacji. Drzeworyty staranne.

Sprawozdanie przekonywa nas, że ostatecznie konkurencja pp. Ungra i Krywulta, oraz współzawodnictwo bardzo popularnej i w celach tej popularności dobrze prowadzonej instytucji, Towarzystwu Zachęty pokrewnej, mianowicie krakowskiego Towarzystwa Przyj. Sz. Pięk. nie pomogły wprawdzie, ale też nie zagroziły bytowi instytucji warszawskiej. Członków rzeczywistych nowych przystąpiło tylko o 44 mniej niż w 1880 r.; dzieł sztuki zakupiono mniej o 2, a wydano na zakup mniej o 491 rs. Członków korespondentów w 1881 r. było 91, najwięcej w Warszawie, bo 36, najmniej stosunkowo w Wilnie i Poznaniu, w pierwszym mieście 2, w drugim 1. Korespondenci są właściwie agentami Towarzystwa; agentury te sięgają daleko: jest jedna w Kutaisie za Kaukazem, a sprzedano w niej 9 dowodów składkowych; agentura w Helsingforsie sprzedała 4 dowody, w Kazaniu aż 12. Gdyby były bliższe wskazówki co do położenia miejscowości agentur, możnaby ułożyć statystykę ruchu, w Poznańskim i w Prusach, w guberniach zwanych południowo-zachodnimi, w Królestwie Polskiem i we wszystkich pozostałych miejscowościach. W Galicyi Towarzystwo korespondentów i zbytu na dowody składkowe nie ma wcale, w W. X. Poznańskim i w Prusach niezmiernie mało; głównie opiera się na Warszawie. Ta dostarcza mu i najwięcej członków, wszystkich czterech kategorii, i największy daje dochód.

Wszystkich członków w 1881 r. liczyło Towarzystwo, według list podanych w *Sprawozdaniu*: I. Honorowych 30; II. Rzeczywistych: a) artystów: 58 malarzy (pomiędzy nimi p. Redlich), 16 rzeźbiarzy i 56 (!) budowniczych — łącznie 130; b) miłośników 1.512, (według ogólnikowej wskazówki *Sprawozdania* 1.514); III. zwyczajnych 1.307 — ogółem 2.849.

Członkowie honorowi są protektorami Towarzystwa. W 1881 r. było w ich liczbie aż *dwadzieścia* kobiet, a tylko dziesięciu mężczyzn, pomiędzy nimi Kraszewski, Siemiradzki, Łepkowski Józef prof. Uniw. Jagiel., Łuszczkiewicz Wład., prof. Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, Sosnowski i sławny artysta rosyjski Ajwazowski.

Śladów działalności członków honorowych w *Sprawozdaniu* nie dostrzegaliśmy wcale.

Członkowie rzeczywisti odróżniają się od zwyczajnych tem, że nie należą do instytucji w skutek samego tylko nabycia dowodu składkowego i opłacenia rs. 5, ale muszą być indywidualnie przyjętymi przez komitet, towarzystwem zarządzającym, i zobowiązują się wносить składkę przez trzy lata. W zamian za to zobowiązanie mają prawo stawiania wniosków i głosowania na zebraniach ogólnych; wybierają zarząd i uczestniczą w wyborze dzieł do rozlosowania, między ogół towarzystwa przeznaczonych; z ich łona też tylko wybranymi być mogą Komitet i Delegacja Rachunkowa. Członkowie zwyczajni z rzeczywistymi trojakiem tylko uprawnieniem podzielać: mogą bezpłatnie przez cały rok odwiedzać wystawę, otrzymują corocznie premium i w ostatnim dniu roku mają wspólną z rzeczywistymi członkami nadzieję wygrania jednego z dzieł sztuki, przez komitet wybranych.

Wszystkich dowodów składkowych, 5-cio rublowych, oddanych korespondentom do rozprzedania było w 1881 r. 1.603. Z tego sprzedano tylko 958, 645 pozostało niesprzedanych; jedna liczba do drugiej ma się jak 8 do 5. Ponieważ członków zwyczajnych było 1.307: zarząd więc sam, bezpośrednio od siebie, sprzedawał dowody składkowych 349. Korespondenci zatem zjednali dla Towarzystwa 73%, — zarząd 27% członków zwyczajnych.

Instytucja warszawska w 1881 r. zostawała w stosunkach towarzyskiej, że tak powiemy, uprzejmości z 12 towarzystwami istniejącymi poza Królestwem Polskiem; z tych trzy znajdują się w Cesarstwie, dwa w Galicyi, sześć w Niemczech i jedno w Czechach.

Artystów korzystających z prawa przesyłania swych utworów na Wystawę Towarzystwa, na jego koszt, aż do wysokości 20 rs., było 44: 41 malarzy i 3 rzeźbiarzy. Na wystawę przyjęto wszystkich utworów 322, w tej liczbie samych obrazów olejnych 251, akwarelli 24, rzeźb 24, sztychów 3, projektów architektonicznych 14, wszelkich innych 6. Zwiedziło Salon Tow. 26.608 osób dorosłych i dzieci. Publiczność zwiedzająca wystawę zaleca się oszczędnością godną zastanowienia: gdy po niższej cenie (10 gr.) było 25.049 dorosłych, to przy wyższej zaledwie trzynasta część powyższej liczby.

Z ogólnej ilości 251 obrazów przybyłych na wystawę w 1881 roku, oraz z dawniejszych, nabyli miłośnicy sztuki ogółem 43 za 4.661 rs. Ponieważ samo Towarzystwo zakupiło do losowania obrazów 55 za 7.400 rs.: razem przeto wystawcy malarze zbyli w Towarzystwie, i dzięki jemu, 98 utworów za 12.061 rs. Nadto zakupiło Towarzystwo do losowania 5 akwarelli i 1 rzeźbę—wydając w każdym z tych dzieł po sto rs., a zatem ogół zakupów dochodzi do 12.261. Wypadnie tu jeszcze dodać cenę nabycia do zbiorów Towarzystwa obrazu *Poranek Sidorowicza*.

Zbiory Towarzystwa pomnożyły się prócz 8 rycin, 5 obrazami i 1 rysunkiem (*Grotgera Kometa*); z wyjątkiem jednego portretu wszystkie odtworzone w drzeworytach wyżej wspomnianych. W d. 1 Stycznia 1882 r. Towarzystwo posiadało w zbiorach swoich na własność:

Obrazów olejnych i akwarelli	61
Rzeźb	7
Malowidło na szkłe (okno)	1

Razem 69

Wszelkich odtworów, jak: staloryty, miedzioryty, oleodruki, litografie, chromolitografie (tu zaliczono również i rysunki architektoniczne) 417

Biblioteka, bardzo uboga, powiększyła się tylko o 3 broszury i wszystkiego obejmowała 71 dzieł, 38 broszur i 10 pism peryodycznych. Ze *Sprawozdania* widać, że nie prenumeryowano w 1881 r. ani jednego pisma Sztukom Pięknym poświęconego; a jest ich tyle na Zachodzie i przy ogólnym wpływie, kilkanaście tysięcy rubli wynoszącym, można by przynajmniej 100 rs. przeznaczyć na prumeratę roczną kilku pierwszorzędnym wydawnictw. Czytanie ich wykształcałoby uczucie piękna w publiczności, popierającej bezpośrednio cele Towa-

rzystwa, i zarazem przynosiło-by jej pożytek umysłowy, umożliwiając poznanie różnych kierunków pięknotwórstwa, dzieł nowych i dawnych, zabytków i dzieł sztuki i samych kolei życia i działalności artystów.

Wszystkie zbiory Towarzystwa, właściwie pięknotwórcze i w reprodukcjach zawarte, Zarząd Towarzystwa ocenia na . . . rs. 11.767 kop. — Bibliotekę . . . rs. 1.325 kop. 30 Sprzęty i kostiumy (?) . . . rs. 656 kop. —

Ogółem wartość całkowitego inwentarza Towarzystwa . . . rs. 13.748 kop. 30

Doliczając do tego:
Kapitał zapasowy z r. 1881 . . . rs. 2.972 kop. 52
Pozostałość z kapitału na zakup pięknotworów do losowania . . . rs. 1.025 kop. 45

Pozostałość na zbiory i konkursy . . . rs. 381 kop. 57
Gotowiznę w kasie . . . rs. 39 kop. 81
„Remanent z lat dawnych“ . . . rs. 4.641 kop. 4
„Fundusz zarezerwowany na wydawnictwo“ . . . rs. 1.300 kop. —

Otrzymujemy jako całość majątku Towarzystwa w d. 31 Grudnia 1881 roku . . . rs. 24.108 kop. 64

Dochody Towarz. w 1881 r.:
Gotowizna z 1880 r. . . rs. 67 kop. 46

Procenta od kapitałów Towarzystwa . . . rs. 507 kop. 37
Za 26.680 biletów wejścia . . . rs. 1.490 kop. 35
Składka od 2.919 członków . . . rs. 13.628 kop. —
Kommissowe od sprzedanych obrazów . . . rs. 284 kop. 70
Sprzedaż odtworów sztuki . . . rs. 144 kop. —
Sprzedany obraz ze zbiorów Towarzystwa . . . rs. 140 kop. —

Dochód przypadkowy . . . rs. 9 kop. —
Zasilek rządowy . . . rs. 1.650 kop. —
Do tego dołączyć należy: . . . rs. 17.920 kop. 88

w 4 funduszach specjalnych:
a) remanenta. . . rs. 1.108 k. 42
b) wpływ w roku 1881 . . . rs. 285 k. —

Razem rs. 19.314 kop. 30

Wydatki:

Administracja w całym zakresie . . . rs. 4.167 kop. 71
Stosunki z innemi towarzystwami . . . rs. 197 kop. —
Kommissowe od sprzedanych biletów i dzieł sztuki . . . rs. 411 kop. 54

Za 55 utworów rozlosowanych między członków . . . rs. 7.600 kop. —
Dzieła nabyte do Zbiorów Towarzystwa . . . rs. 1.189 kop. —

Koszta reprodukcji rozdanej wszystkim człon. Towarz. . . rs. 3.274 kop. 17
Stypendya . . . rs. 285 kop. —
Sala rysunkowa . . . rs. 37 kop. —

Pożyczki udzielone artystom . . . rs. 326 kop. 70
Razem rs. 17.489 kop. 3

Dotego dołącza się na kapitał zasobowy . . . rs. 177 kop. 85
Razem rs. 17.666 kop. 88

Przewyżka dochodów, rs. 1.647 kop. 42, mieści się w remanentach czterech funduszy specjalnych na rok 1882 w gotowiznie i w należności u korespondentów.

Cztery fundusze specjalne są następujące:

1) Fund. na kupno do Zbiorów Tow. i konkursy
2) Ofiary dobrowolne
3) Fund. z wystawy *Świeczników* Siemiradzkiego
4) Fund. na stypendium imienia Kopernika.

Do reprodukcji na 1882 r. wybrano *Przyjęcie do komoiku* p. Maszyńskiego. Z przyjemnością dowiadujemy się ze *Sprawozdania*, że będzie to sztych, a nie litografia, ani ohydna, nie artystyczna, chromolitografia olejna lub oleodruk. Wykonanie sztychu powierzono p. Redlichowi, którego talent daje nieomylną zapowiedź dokładności i piękności odtworu.

Z własnych swoich i do rozporządzenia sobie

oddanych funduszy Towarzystwo bardzo mało łoży na stypendya, ale działalność swoją na tem polu uzupełnia przez *kwalifikowanie* do stypendyów prywatnych. Poznajemy ze *Sprawozdania* Komitetu, że w 1881 roku fundusze stypendyalne Towarzystwa wzrosły przez zapis ś. p. Ciszewskiego Ignacego, artysty rzeźbiarza, 4.000 rs. w kapitale wynoszący.

Ważną bardzo, palącą sprawą dla Towarzystwa jest znalezienie nowego dla siebie pomieszczenia. W Październiku 1884 r. traci ta instytucja prawo do zajmowania obecnego lokalu. Myśl zbudowania sobie własnego domu odrazu silniej od innych wystąpiła; ale Towarzystwo nie jest kapitalistą, z rozporządzalnego majątku jego nikt domu nie zbuduje. Co robić? Na wniosek p. Lessera komitet w pierwszej chwili zaraz postanowił stracić 10% od dochodu brutto na fundusz przyszłej budowy, — oczywiście jeżeliby ogólne zebranie na takie potrącanie pozwoliło. Jednocześnie wystąpiono do władz o pozwolenie na składki. Wyznaczono też delegacyę, złożoną z pp. Struwego, Gersona, Cichockiego, Maleszewskiego, Wolińskiego, Lanciego i Braumanna. Delegacya ta, po rozprawach i namysłach, w końcu zaopiniowała, że najwłaściwszem byłoby zużytkowanie dawnej poczty, obecnie burzonej, od Krakowskiego Przedmieścia. Właściwy budynek, czy plac pod budynek, ostatecznie, nie tu, to tam zawsze-by się znalazł, gdyby się tylko przedtem znalazły właściwe pieniądze.

Z artykułu p. Gersona dowiadujemy się, że Prezydent Miasta przyrzekł ulgi w wypłacie należności za mogący się nabyć plac; że delegacya owa uważa zapłacenie przez Towarzystwo jakich 50 do 75 tysięcy rubli w ciągu lat 6 za nieprzechodzące granic jego możliwości; i że, wreszcie, fundusze potrzebne na wybudowanie domu nie dadzą się prawdopodobnie zebrać w ten sposób, aby który z kapitalistów w zamian za prawo wydzierżawiania sklepów mających się w tym domu *in spe* urządzić, zaliczył towarzystwu z góry gotowiznę wystarczającą. Ostatnią deskę ratunku powziętemu projektowi przeniesienia się na Krakowskie Przedmieście, gdzie dawniej urzędowała poczta, rzucił p. Gerson. Zaproponował on nabycie, a następnie przebudowanie narożnej części na zburzenie przeznaczonych budowli. Delegacya przychylnie tę propozycję przyjęła. Sprawa jest w biegu. Obecnie rozpoczyna się już zbieranie w całym kraju, przez wszystkie redakcje pism peryodycznych, przez wszystkich korespondentów i sam zarząd Towarzystwa, składek publicznych na koszt wzniesienia własnego domu dla instytucji tak sympatycznej i takie prawo do poparcia publiczności posiadającej. Wysokość mającego się zebrać funduszu oznaczono na 100,000 rs. Wątpić nie można, że składki nie zawiodą oczekiwań.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Kwietniu 1882 r.

Les Rantzau, nowa sztuka pp. Erkmanna i Chatriana. — Przedstawienie jej i powodzenie w Teatrze Francuzkim. — Nowy Awatar Sary Bernhardtówny. — Małżeństwo w podróży. — Kulisy i miłość. — Owdowienie pani Nilssonowej. — Rouzard i poehleby list króla szwedzkiego. — Królowa Rumuńska i jej prace literackie. — Ulbach w roli literackiego farbiarza. — Dumas. — Szcześliwy pomysł. — Nowe wydanie jego „Zupełnego Teatru“. — Ciekawe szczegóły o pierwszym przedstawieniu *Damy z kamelią*. — Munkasy, jego tryumfalne przyjęcie na Węgrzech i drwiny „Figara“, któremu odmówiono zapłaty za reklamę.

(Dokończenie).

Dumas, który miał owę nieszczęśliwą niedawno sprawę z malarzem, o której już wam mówiłem, miał też zarazem piękny i wyborowy pomysł, na jakich mu nigdy nie zbywa. Jestto zwyczajem w Paryżu, że po setnem przedstawieniu sztuki w teatrze autor wyprawia ucztę dla artystów i administracji teatru, w którym się dopełnił ten chlubny akt powodzenia i wziętości dzieła. Dumas każda prawie sztuka przeszła już dawno ten artystyczny Rubikon; ale nie każdą secinę ob-

chodzono solennie. Dumas, chcąc się wywiązać z tego długu wdzięczności swoim tłumaczom na scenie, postanowił zrobić coś lepszego i trwalszego, niż ucztę, jak sam powiada i powziął myśl nowego wydania swojego teatru, przeznaczonego wyłącznie tylko dla aktorów, którzy grali w jego sztukach na rozmaitych paryżskich teatrach. Znalazło się dziewięćdziesięciu dziewięciu żyjących artystów: wydanie to więc odbite zostanie w 99 egzemplarzach *tylko*, z następującym tytułem:

„Théâtre d'Alexandre Dumas

Edition des Comédiens“.

Na pierwszej karcie każdego egzemplarza wydrukowane będzie nazwisko artysty, któremu ten właśnie egzemplarz ma być poświęcony.

Korzystając z uprzejmości wydawcy, przerzuciłem śpiesznie odbitki pierwszego tomu. Edycja ta oprócz tych dwóch szczególności: tytułu i ograniczonej liczby egzemplarzy, ma jeszcze tę zaletę, iż Dumas dodał tu noty i anegdotyczne notatki do każdej sztuki. I tak w 1-m tomie bardzo ciekawe są szczegóły o pierwszym przedstawieniu „Damy z kamelią“, o trudnościach, jakich doznał autor przy wyprowadzaniu na scenę swej sztuki, która, odsyłana od Annasza do Kajfasza, byłaby może odrzuconą zupełnie, bez pewnych okoliczności, które zrecznie opowiada autor. Dodaje D. zachętę — *ad Autores Tirones* wystosowaną, jak nie należy tracić odwagi wobec przeciwności, kiedy on, syn jednego z najpopularniejszych pisarzy i dramaturgów, spotkał tak wielkie trudności, i to przynosząc sztukę, która później z bogactwami i jej autora i wiele teatrów.

Ja jednak, który jestem, przyznaję się, niewiernym Tomaszem, podejrzewam, że pod tą tak piękną zasłoną musi się ukrywać to licho, to bóztwo Francuzów: pięciofrankówka. Ta zapowiadana liczba 99 egz. — zobaczycie jak w ukryciu „butiki“ wydawcy rozciągnie się, rozszerzy i urosnie na 999, a może i więcej. Będą to niby egzemplarze sprzedawane naprzód cichaczem, przez aktorów, a raz tylko na tej drodze, to potem już cała reszta przeznaczonych na sprzedaż egzemplarzy spłynie jak woda!

Sprawa p. Munkacsego, chociaż równie ma swoją stronę pięciofrankówki, jest zabawniejszą daleko z powodu okoliczności niezwykłych a dziwacznych w gruncie. Ale słówko o artyście. Rodem z Węgier, z miasteczka Munkacsu, niedaleko Szegedy, z kąd i nazwisko Munkacsy, jak go piszą Węgrzy, malarz ten, co mu nie uwłacza bynajmniej, jest dziecięciem ludu, plebejuszem w całym znaczeniu i z pierwotnego powołania czeladnikiem stolarskim. Kiedy naturalne usposobienie chłopca do rysunków obudziło uwagę ludzi z miasteczka, znalazła się, na szczęście, ręka pomocy, i nowy, liberalny zawód otworzył się dla Munkacsego. Postępy musiał być szybkie, kiedy dziś w pełnym rozwoju będący artysta jest jeszcze stosunkowo młodym; kształcił się on w Düsseldorfie, w Monachium, z kąd, polecony przez swoich mistrzów, udał się do Księstwa Luxemburskiego, ozdabiać wnętrza zamku czy pałacyku starego jakiegoś barona. To był początek fortuny. Baron ożenił się na starość z artystką dramatyczną, której wdzięki, sui generis, były zdaje się większe niż talent. Munkacsy umiał się podobać, i baronowi, i baronowej. Stary Luxemburczyk zmarł, nim jeszcze pędził malarza skończył upiększenie; ale umierając, dał mu nowy obstarunek: posłubił w żalu pogrążoną wdowę. Przyszła więc fortuna, można powiedzieć śpiącemu artyście, a na pochwałę powiedzieć należy, że, ceniąc wyżej sztukę niż fortunę, starej mistrzyni wcale nie opuścił, ale jakby z nowym zapalem, szedł z nią naprzód, ręka w rękę; osiadł tylko w Paryżu, gdzie sobie wspaniałe urządził gniazdko.

Wiadomo wszystkim, jak piękne dzieła wyszły z tej pracowni; ja sam zdawałem z nich sprawę kilka razy, a szeroko rozpisałem się nawet o jego wielkim obrazie z wystawy powszechnej w Paryżu w 1878 roku, wyobrażającym Miliona i jego córki. Z tego względu wiele pisano o artyście i o jego talencie; oddano wielkie, może nawet zbyt wielkie, pochwały, a w liczbie zachwyconych krytyków odznaczył się p. Wolff, znany redaktor „Figara“. Żli ludzie i zazdrośni mówili, że był drogo zapłacony.

Wówczas już Munkacsy, jak to jest dziś zwyczajem wielu, wielkiej wziętości, malarzy, był za-

kontraktowany przez jednego zamożnego kupca obrazów; opłacenie więc dzienników i pisarzy, było operacją handlową kupca. W takich warunkach przyszedł na świat w przeszłym roku nowy obraz Munkacsego *Chrystus przed Piłatem*. Miał on być oddany na doroczną wystawę, ale Sedelmayer (kupiec kontraktujący) zażądał naprzód przedłużenia terminu dla przedstawienia dzieła, a następnie, dla wywołania hałasu, *osobnej sali, przeznaczonej wyłącznie dla obrazu Munkacsego!* Przedłużenia terminu oddania dozwolono, ale osobnej sali wręcz odmówiono; obraz został w pracowni. Ale Sedelmayer nie zaspiał sprawy, i póki jeszcze wzruszenie trwało, urządził u siebie, w wielkiej i doskonale przygotowanej sali, wystawę obrazu, który tu się znalazł we wszystkich najdoskonalszych warunkach oświetlenia, przez ruchome zasłony i t. d. Powodzenie było wielkie i skutkiem najpomyślniejszym pod względem artystycznym i finansowym — Sedelmayer żył Munkacsym!

Był to pierwszy akt tylko. Bo kiedy wszystkie zagraniczne i krajowe pisma zagrzebiały pochwały już nie artysty, ale mistrza, — rodzinną ziemią nie mogła sama tylko pozostać milcząca i niewdzięczna. Zgodzono się więc powszechnie na to, że obraz, przywieziony do Pesztu, wystawiony tu zostanie na pociechę zachwyconych już naprzód rodaków, którzy ze swej strony postarają się zrobić narodowemu artyście przyjęcie godne i jego talentu, i wdzięcznego uczucia rozmiłowanych ziomków.

Stało się: Munkacsy ze swoim obrazem stanął na rodzinnej ziemi i jak „Wilhelm Tell“ Schillera mógł sobie powiedzieć: „Otóż jestem u siebie“. Przyjęcie przeszło oczekiwanie, i Munkacsego, i Sedelmayera. Węgrzy wystąpili z całą gorącością uczucia narodu, który umie uczyć talent swych synów. Wtem im się należały największe pochwały. Na nieszczęście w porywie zapału przekroczone zbyt granicę umiarkowania, które tak przystoi poważnym sprawom. Znalazły się tam pewne strony dające łatwo powód do śmiechu. Dzienniki węgierskie, powiększając jeszcze najmniejszy szczegół tego tryumfu artysty, dały słuszny powód krytyce uderzyć w najsłabszą stronę i łatwe odnieść zwycięstwo.

Nielicząc wiele na wpływy miejscowej prasy, Sedelmayer starał się zapewnić sobie zupełną zgodę dziennikarstwa zagranicznego, a szczególnie paryżskiego. Oile niedyskrecja zbyt gorących przyjaciół malarza, pozwala się domyślać, udano się do Wolffa, który już w swoim czasie oddał tę posługę; ale wymagania wziętego redaktora „Figara“ były tak wielkie, iż traktujący tę sprawę musieli się powstrzymać, przenosząc milczenie dziennika w tym razie nad tak znaczne koszty — milczenie! zapewne, ale tu właśnie był sęk. Niezadowolony a nieuczciwy dziennikarz pokazał zaraz co może, i artykuł, dobrze i sprytnie napisany, w najzabawniejszy sposób potrafił każde uchybienie, każdą omyłkę, każdy krok fałszywy, pokazać czytelnikom dziennika, który jest w rękach całej publiczności tutejszej.

Prawda, że Węgrzy i artysta łatwe mu do tego podali pole; widzimy tu bowiem najpierwszy urząd kraju, który jak ów kaznodzieja wołający z ambony: „I gdzie cię posadzę Sw. Antoni? między aniołami? — to mało, między archaniołami — to mało; między serafinami? — i to mało!“ — szukając, jakby mógł uczyć artystę malarza, porównywał go z Arpadem, założycielem węgierskiej monarchii — i nie waha się dwóch tych imion, wypisanych na wspólnej tablicy, przytwierdzić na rodzinnym domu Munkacsego w Munkacsu!

Zabawnie wygląda to również, kiedy Munkacsy, wchodząc do teatru na przedstawienie ku czci jego wydane, zapytany publicznie: czy jest muzykiem? odpowiada, wyświstując jakąś narodową piosenkę — poczem stary Liszt porwawszy go w objęcia i ogłasza niezrównanym artystą... I w ten sposób, cały długi szereg faktów, jedne mocniejsze od drugich. Nie dziwi to nas, że się znalazł tak rodzaj Barnuma, który cały ten *humbug* amerykański prowadził z przekonaniem i chlubą. Ale dziwimy się, że ludzie znakomici i poważni mogli przyłożyć ręce do tej reklamy w tak szczególny i dziwny sposób. Munkacsy jak każdy inny śmiertelnik, odurzony tym dymem kadzideł tak słod-

kich, tak wonnych, uległ ich odurzającemu wpływowi — i jest pewien siebie. A taki Rafael, taki Michał Anioł, tysiącznej nawet części tych kadzideł nie zaznali w swym życiu!...

7

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Warszawska Rada Miejska Dobroczynności Publicznej przyznała z procentów od summy zapisanej na ten cel przez s. p. Zacharkiewicza trzy nagrody za długoletnią i nieprzerwaną służbę w tej samej rodzinie: Dorocie Broczkiewiczównie za 32 lat i dni 15 służby u p. Drożyńskiej zł. 1000; Maryannie Baranównie za lat 19, miesięcy 2 i dni 20 służby u p. Rutkiewiczowej zł. 500; Karolinie Nikutowej za lat 14 miesięcy 8, dni 2 służby u p. Cytwicowej zł. 300. Faktem bardzo nau czającym jest tu to, że wszystkie nagrody przyznane zostały za służbę wiele dłuższą niż ostatnia wola testatora tego wymaga, zatem stan moralności naszych sług nie jest złym, a uczciwe pojęcie obowiązków dobrej pani nie jest u nas obniżone. Na każdą dobrą sługę trzeba liczyć choć jedną dobrą panią. Inaczej być nie może, bo tu oddziaływanie jest wzajemne.

P. Ludwika z Duninów Borkowskich Niezabitowska ofiarowała lwowskiemu *Stowarzyszeniu racy kobiet* 1000 zł. reń. Stowarzyszenie potrzebuje zapomog tego rodzaju, gdyż jest ono pod względem finansowym bardzo ubogie. Liczba członków wspierających coraz się zmniejsza i w ogóle publiczność rządzi się w stosunku do Stowarzyszenia zasadą, że powinno się ono utrzymywać siłą własną; a przecież szkoła Stowarzyszenia, w której dziewczęta niezamożne uczą się szycia bielizny, haftu, krawiectwa, wyrobu ręcznego frendzli, koronek kłochowych, wreszcie maszynowego wyrobu pończoch i innych robót trykotowych; szkoła, w której pobierają nauki elementarne, — potrzebuje na najem lokalu i opłatę nauczycieli ofiar dobroczynnych, gdyż nauka udzielana musi być bardzo tanio, często bezpłatnie. Inaczej istnieć-by nie mogła szkoła, której zadaniem jest uzdalnianie do pracy zawodowej dziewcząt niezamożnych. Zakład miał w roku zeszłym (1881) uczennic 148. Przewodniczącą zakładu jest Natalia Dzieduszycka.

Wszędzie gmina miejska przychodzi tego rodzaju stowarzyszeniom z pomocą; szczególnie lokal dostaje się zawsze szkołom takim bezpłatnie. W każdym razie przecież stowarzyszenie lwowskie choć nie bogate, nie rozwijające się, jakby należało, istnieje jednak, gdy w Warszawie nie ma go i nie było nigdy. Kilka zakładów, jakie mamy, są to prywatne szkoły robót kobiecych: nie mogą więc rozwijać żadnej szerszej działalności filantropijnej, jak to ma miejsce wszędzie w Europie. Gminy miast i dobroczynność publiczna wznosi zawodowe szkoły dla dziewcząt klas niezamożnych, lub przychodzi z pomocą stowarzyszeniom, działającym w tym kierunku. Gmina miasta Bruxelli objaśniając potrzebę użycia na cel taki funduszów miejskich, tłumaczyła, że wydatek w tym kierunku opłaci się oszczędnością w wydatkach na domy kary i poprawy.

Zakład Ś-go Kazimierza, założony w Paryżu 1846 r., a istniejący przy ulicy du Chevaleret pod Nr 119, obsługiwany jest przez Siostry Miłosierdzia polskie, którym przewodniczy Wielebna Matka Teofila Mikułowska. Po rok bieżący cho wało się w nim 430 dziewcząt, a 56 chłopczyków, razem 486 dzieci polskich i znalazło schronienie 164 starców, także polskiej narodowości. Rząd Napoleona III, uznając Zakład Ś-go Kazimierza za instytucję użytku publicznego, przyznał mu subwencję, która przecież obecnie została cofniętą, tak, że zakład, pozbawiony tej stałej podpory i pozostawiony własnym siłom, znajduje się w położeniu bardzo przykrym i, jak czytamy w *Wieku*, przełożona jego odzywa się do kraju z prośbą o pomoc. Garstka starców naszych, kończących smutne życie między obcymi, garstka sierot po lu-

dziach zapędzonych nieszczęśliwie w strony świata dalekie ma prawo do litości, do współczucia naszego i eoś więcej niżeli miłosierne uczucie ludzkości, coś, co jest obowiązkiem, co jest powinnością, upomina się tu za niemi. Tyle grosza idzie do Paryża na zbytki i wykinty, tyle osób jeździ tam bawić się, oglądać, ciekawość swą zasycić: czyż zatem nie należy, aby nędza nasza miała od tego choć procent mały? Gdyby to była u każdego rogatka Paryża skarbonka z napisem: Dla starców i dzieci polskich...

Kwestya bardzo ważną dla matek rodzin niezamożnych, których utrzymanie opiera się głównie na pracy męża, poruszył p. Bronisław Mayzel, w broszurce: *Słowo o stanowisku kobiety na polu ubezpieczeń na życie*. Człowiek niezamożny a stwarzający rodzinę powinien myśleć o tem, co się stać z nią może na przypadek jego śmierci? Młodość i zdrowie, najsilniejsze jeszcze tu rękami nie dają, zrobienie majątku nie jest zawsze rzeczą możliwą, a często nawet nadziei takiej rozsądnie roić nie można; lecz instytucja ubezpieczeń na życie przedstawia środek ratunku i uspokojenia. Można zabezpieczyć życie swoje na korzyść żony lub dzieci, można ubezpieczyć każde dziecko, aby z chwilą dojścia do pełnoletności otrzymało od Towarzystwa Ubezpieczeń kapitał pewien, któryby był dla dziewczęcia posagiem, młodzieńcowi dał możność pracy podjętej niezawisłe. Autor broszurki, pisząc pod pseudonimem: Bruno Lezyam, nazywa to obowiązkiem sumienia mężów, żonom zaś uważa to za powinność, aby mężów do tego skłaniały; przyczem wymaga od nich jeszcze jednej rzeczy, często stanowczej tu i rozstrzygającej: aby przez oszczędność, przez unikanie zbytków i życia nad stan pomagały mężom do zbierania funduszu, potrzebnego na roczne opłaty, składane towarzystwu. Idąc za francuskim pisarzem, traktującym ten sam przedmiot, za Edmundem About, ostrzega kobiety przed sentymentalizmem, który im ubezpieczenie życia męża łączy ze smutną, a często zabobonną myślą o jego śmierci. Tak chyba jest rzadko gdzie, przynajmniej w klassach oświeconych; ale jest pewna przykra drażliwość, jeżeli żona musi męża kilkakrotnie do tego znaglać, aby pamiętał, że życie ludzkie przerywa się nieraz nagle i niespodziewanie. Może to zrobić jedynie jako matka o los dzieci zaniepokojona, ale mąż powinien to czuć i serca jej oszczędzać.

W Niemczech fabryczna praca kobiet zaczyna zwracać uwagę tak ekonomistów, jak i moralistów i głos tego zajęcia się kwestyą niezmiernie ważną dla społeczeństwa odzywa się w parlamencie. Już w roku zeszłym było to samo. Grozi ludzkości wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli będziemy widzieć w rodzinie ludowej tylko tyle a tyle jednostek, przedstawiających pewną sumę sił roboczych. Dola i moralność klas pracujących wtedy tylko podniesioną zostanie, jeżeli żona robotnika nie będzie wyciąganą z rodziny przez pracę poza domową, szczególnie przez pracę fabryczną. Jestto otchłań, w której wysila się i psuje kobieta w ogóle; ale, jak tu, chodzi przede wszystkim o mężatki, o matkę dzieci. Nie jest to dość, jeżeli społeczeństwo wzniesie dla dziecka robotnicy żłobki, a potem da starszemu nieco ochrony — nie zastąpi to matki. Zdziczenie młodzieży fabrycznej zaczyna być w Niemczech strasznym; sądy kryminalne przerażają się niem i przedstawiają statystykę okropną; to samo piszą we Francyi, a tu i tam uważają za jedyny ratunek umoralnienie rodziny, kobiety. Łączy się to w sposób najciślej z pracą mężatek, z pracą matek. W roku zeszłym wołano w parlamencie niemieckim, aby ograniczono pracę mężatek do dziesięciu godzin dziennie, a nocnej zabroniono wcale, ale Bismarck oparł się temu. Jakkolwiek przyznał, że wtedy tylko stan rodziny jest dobrym i pomyślnym, kiedy żona oddaje się jedynie zatrudnieniom domowym

i pracom koło rodziny, że przecież przy obecnym stanie rzeczy praca żony przedstawia w budzenie robotnika jedną trzecią, a nierzadko dwie trzecie dochodu, zatem zmiana jest niemożliwą. Względy ekonomiczne przeważały więc nad względami moralnymi najwyższego znaczenia; niemniej ludzie stanowiący w parlamencie niemieckim stronnictwo, które nie może zgodzić się spokojnie na taki stan rzeczy, znów podniosło głos w tym roku, żądając zmiany nieszczęśliwych stosunków i wykazując, że nawet materyalnie nie zyskuje nie rzemieślnik na pracy żony poza domowej, bo wtedy kobieta nie trudni się kuchnią, nie opiera, nie obszywa rodziny, co tak zwiększa wydatki na utrzymanie, że zarobek żony zostaje pochłonięty, a nieszczęście i zepsucie, rozprężenie węzłów rodzinnych, brak zupełny wychowania macierzyńskiego w ludzie: to jedyny owoc takiego ekonomicznego układu społeczeństwa. Socjaliści niemieccy popierają również żądanie, aby kobieta została usuniętą z fabryki, lecz ci ze względu, że praca kobiet stanowi niebezpieczną konkurencyą dla pracy mężczyzny, z której korzystając, przemysłowcy obniżają cenę pracy. W niektórych stronach Niemiec, szczególnie w Saxonii, kobiety i dziewczęta stanowią połowę sił pracujących po fabrykach. W Werdau i Krimnitzschau kobiety zarabiają w przemyśle tkackim więcej niż mężczyźni o jedną piątą, a nawet o jedną czwartą i poseł saski wymieniał te miejscowości, w których mężczyźni pracują tylko w nocy, a w dzień bawią dzieci i jeść gotują. Byłby to jeszcze podział pracy; tkactwo przytem jest gałęzią przemysłu kobiecego: przecież praca fabryczna kobiet przez inną jeszcze stronę konkurencyi źle oddziaływa na rodzinę. Tam, gdzie przybywa robotnic, ubywa zawsze robotników i statystyka wykazuje zmniejszoną znacznie liczbę małżeństw. Tosamo dzieje się w innych sferach pracy i zaczyna już zaznaczać się w Anglii: każde miejsce pracy takiej, które zdolne było dać utrzymanie rodzinie, tworzyło ją, gdy zajmował je mężczyzna, dziś często bardzo pracuje na niem kobieta samotna. Czy przecież miała mrzeć głód ze względu na społeczeństwo?

Kraje, w których niema jeszcze przeludnienia, w których praca kobiet poza rodziną nie zaznacza się jeszcze na targu ekonomicznym, powinny czuć nad kierunkiem, w jakim praca owa się rozwija. Są jej gałęzie, które z natury rzeczy przypadają na dział kobiecy, i te jej się należą; ale w ogóle praca kobiet poza domową jest w stosunku odśrodkowym względem rodziny i u mężatki rozwiązuje ona rodziny tej węzły najświętsze, znosi ją w znaczeniu moralnem: mężczyzna traci ognisko domowe, dziecko — wychowanie macierzyńskie.

Francuskie ministerjum oświecenia publicznego, utworzywszy komisyjną higieniczną dla szkół, wezwowało do niej ośm kobiet; wszystkie pracują w zawodzie nauczania publicznego i wszystkie są żonami; tym względem ostatnim rządziła myśl większej znajomości potrzeb dziecka w kierunku wychowania fizycznego u tej, która sama jest lub była matką.

Augusta Holmes, autorka symfonii, która otrzymała pierwszą nagrodę na ostatnim konkursie nazwiska Rossiniego, mianowana została członkiem paryzkiej komisyi sądzącej utwory muzyczne, zapewne uczniów Konserwatorium Paryzkiego.

Francuskie *Debaty* piszą o jednej z przekupek francuzkich: „dame des Halles“, która sprzedaje jarzyny na targu z krzyżem *Virtuti militari* na piersiach. Zowie się Anna Drévon i jestto była wiwandierka 2 pułku zuawów, a następnie 32 pułku piechoty liniowej. Przebywała ona z wojskiem francuzkiem w Afryce, była z niem w Krymie, we Włoszech, była w ostatniej wojnie prusko-francuzkiej nad Renem. Krzyż zyskała we

Włoszech, gdy w czasie bitwy pod Magenta dwóch żołnierzy austriackich pochwyliło w moc swoją chorągiew 2 pułku zuawów, ona rzuciła się ku nim mężnie z odwiedzionym rewolwerem w ręku; jednego zabiła wystrzałem, drugiego raniła dwukrotnie, i zdobywszy w ten sposób sztandar pułku, odniosła go swoim w tryumfie, śmiało powiewając nim w powietrzu, co mogło być spowodować nową walkę na dumną bohaterkę. W czasie wojny niemieckiej przebyła ona inny rodzaj dramatu, a raczej tragedyi. Raz, w czasie zawieszenia broni, na gościńcu wiodącym do Thionville została napadniętą i ciężko obrażoną przez bawarskiego żołnierza, ale nosiła zawsze przy sobie nabity rewolwer i zabiła napastnika na miejscu. Niemcy pochwycili ją, uwięzili i stawili przed sądem wojennym, zasiadającym w Metz, a ten skazał ją na karę śmierci przez rozstrzelanie; wyrok miał zostać wykonany zaraz nazajutrz, gdy na szczęście książę Fryderyk Karol przybył dnia tego do Metz, usłyszał, że kobieta ma być rozstrzelaną za chwil kilka i kazał natychmiast przedstawić sobie szczegóły sprawy, które poznaawszy, wstrzymał wykonanie wyroku, a w trzy dni potem odesłał Annę Drévon do Paryża bez żadnej kary.

Książę Fryderyk Karol ocalił tak od śmierci i drugą kobietę, Francuzkę przez Niemców skazaną: bohaterską telegrafistkę, dziś ozdobioną krzyżem Legii Honorowej, która w czasie wojny ostatniej złożona przez Niemców z urzędu i zamknięta w swoim pokciu zdołała za pomocą swego prywatnego aparatu, przesłać wojskom francuzkim depesze dające znać o zajęciu miasteczka i większej sile wojsk niemieckich, które nadciągały. Plany te zostały pokrzyżowane; dzielna kobieta szła już na śmierć, gdy książę Fryderyk Karol nadjeżdża, uwalnia ją i także bez żadnej kary odsyła do obozu francuzkiego. Anna Drévon otrzymała w 1874 roku od Mac-Mahona małą pensyą dożywotnią; pracuje przecież jeszcze, jak wiemy. Liczy obecnie lat 55; brunetka nie ma ani jednego siwego włosa, na twarzy żadnej zmarszczki; płeć jej świeża i rumiana, jak u kobiety zupełnie młodej. Anna Drévon jest rodem z Lotaryngii: więc ze stron, które wydały Joannę d'Arc.

Świeżo wydany rocznik miasta Paryża, *Annuaire statistique*, podnosi fakt działalności kobiet francuzkich na innej drodze. Większość szpitali i ochron dobroczynnych Paryża wzniesioną została przez kobiety, i tak: Marya de Medici, żona Henryka IV, wzniosła w 1605 r. szpital: La Charité. Synowa jej, Anna Austriaczka, żona Ludwika XIII, a matka Ludwika XIV ufundowała Szpital S-tej Anny. Aniela Faure, wdowa po Klaudyuszu Bouillon, Najwyższym Intendencie finansów, założyła w 1631 dom schronienia dla przychodzących do zdrowia, tak zwane: *Les Convalescents*. Małgorzata Rouille, żona Le Bret, założyła w 1832 dom nieuleczalnych: *Les Incurables*. Hrabina Rochefoucauld założyła w 1781 szpital zwany *Maison Royal de Santé*, dziś *Asile Rochefoucauld*. Żona ministra Necker, matki p. de Staël wzniosła w 1779 Szpital Neckerów. Długi jest jeszcze szereg takich dobroczynnych dzieł kobiecych i obejmuje większość dobroczynnych fundacyj Francyi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszozu* dołącza się arkuusz 1-szy powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

TREŚĆ. Alfred Młocki, (zyciorys), przez S. K. — Na Białskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Skryte łyzy, (poezya), przez J. Morawską. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Апрель 1882 года.